

160

SZKICE

OBYCZAJOWE I HISTORYCZNE.

(Każda powieść tego zbioru przedaje się osobno.)

SZKICE
OBYCZAJOWE
I HISTORYCZNE.

(J. I. KRASZEWSKIEGO.)

ODDZIAŁ DRUGI.

Powieść ósma.

Wydanie Adama Zawadzkiego.

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1841.

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno. 1841 roku 29 Junij.

Cenzor, Professor b. Uniwersytetu Wileńskiego
Radźca Kollegialny i Kawaler
JAN WASZKIEWICZ.

OSTATNIA

Z XIĄŻĄT SŁUCKICH.



Lito. Oziębłowskiego

OSTATNIA
Z XIĄŻĄT SŁUCKICH.
KRONIKA
z czasów Zygmunta trzeciego

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

z trzema rycinami.

TOM III.

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1841.

I.

Piąty Lutego.



I.

Piąty Lutego.

Nazajutrz rano dopiéro Xiądz Biskup z dwóma Zawiszami i Marszałkiem Dorohostajskim, udał się do Radziwiłła.

Przyjął ich Wojewoda ze wszelką czcią

należną, ale wyraźnie ozięble. Oddane sobie listy Królewskie odczytywał i zaraz na nie odpowiedział Biskupowi.

— Jego Królewska Mość, wielkiéj łaski swéj dowód nam daje, chcąc wejść w to, aby zgodę uczynić, wszelako nie jest to sprawa, któraby rozkaz mógł rozstrzygnąć, i my najlepiéj tylko wiémy, jak ją ukończyć. Cudza rana nikomu nie boli, więc radby przykazać aby nie jęczéć. Cóż kiedy choremu dolega?

— Xiąże Wojewodo, odparł Biskup poważnie i łagodnie—wasze rany znane są Królowi Jego Mości; nie rozkazuje on dotąd, ale radzi i życzy, abyście z osobistéj sprawy, nie wszczęli w kraju wojny domowéj. Do was najsilniéj odzywamy się, bo Wy, Panie Wojewodo piérwsi jęliście spisywać wojsko, dając przykład szkodliwy —

Wojewoda przerwał.

— Moja to rzecz, i nikomu się w to nie mięszać — odpowiedział — Rady Jego Królewskiéj Mości z wdzięcznością przyjmuję, ale jak mam postąpić, mój mi honor obrażony podyktuje sam i jego tylko słuchać będę.

— Posłuchajcież i tych, którzy W. X. Mości dobrze życzą, rzekł Dorohostajski. Jusciż tu na jego szkodę, upokorzenie nikt nie godzi. Co się czyni, czyni się, jak mówią, aby był i wilk syty i koza cała. Możnać przecie znaleść środek między Waszemi Panie Wojewodo i Chodkiewiczów żądaniami pozwólcie przynajmniéj poprobować, nic na tém nie stracicie.

— Tak, dodał Zawisza, wszakże W. X. Mość nikt nie musi i nie pociąga gwałtownie. Co się uczyni, uczyni się z dobréj woli — Azaliż Panie Wojewodo, nawet probować zgody nie zechcecie?

— Ja jéj całą duszą pragnę! zawołał Radziwiłł, ja jéj sam życzę — ale zgody na słusznych warunkach, które ja sam podam, bez których dopełnienia, nic nie uczynicie WMość.

— Pozwólcież nam wiedzieć, spytał Biskup, jakie są wasze warunki?

— Napróżno będę je wyprowadzał na plac, odrzekł dumnie Wojewoda, Chodkiewicze ich nie przyjmą — Oni to oni, najdalsi od pojednania i zgody; oni szukają tylko przyczyn

do wojny, oni gdybyśmy im ustępowali nawet, nie będą radzi póty, aż zmuszą do nieszczęśliwéj wojny! Tak, tak! czemuż odpychają mnie ciągle, czemu gdym ostatnią razą, uprosił dwónastu Panów Senatorów na pośredników, gdym się zniżył do przedstawień i prośb, odpowiedzieli tylko — wzgardliwém odrzuceniem podanéj im już ręki. Drugi raz nie wyprowadzą mnie na to, abym jakikolwiek krok uczynił.

— A gdyby teraz oni uczynili ku Wam krok jaki, Xiąże Wojewodo — rzekł Jan Zawisza.

— Oni! oni tego nie uczynią! zawołał X. Janusz przytomny.

— Nie dość ich widać znacie, odpowiedział powolnie Biskup. Oto i my Wam przynieśli od nich właśnie warunki, a warunki słuszne i uczciwe, którym nic zarzucić nie można, które Was nie upokorzą, ani pokrzywdzą, jeśli je przyjąć zechcecie.

Wojewoda z synem spójrzeli po sobie, zaledwie wierząc słowom Biskupa, w ich twarzach malowało się podziwienie z trochą wzgar-

dy. Milczeli oczekując położenia na stół warunków zapowiedzianych.

— Ciekawiśmy powolności PP. Chodkiewiczów ku nam! rzekł wreście dumnie spoziérając na Kommissarzy Wojewoda.

A Jan Zawisza dobył ceduły i podał ją Xięciu Radziwiłłowi.

Chwycił on to pismo skwapliwie, i czytać począł, a X. Janusz za nim stojąc, zarówno z ojcem przebiegał oczyma. Łatwo było z malujących się uczuć, na fizjonomjach obu, poznać jak przyjmą podane sobie propozycje zgody. Brew Wojewody marszczyła się, oczy zmrużały, usta mu drżały, ramionami poruszał. Syn mniéj okazał oburzenia, a więcéj dumy czytając. Przebiegłszy oczyma cedułę rzucił ją ojciec synowi z uśmiéchem mówiąc.

— Naści, spójrz Wasze na traktat Chodkiewiczowski! Zaiste, przewyborne warunki! mówił daléj. Ale do czegoż prowadzą, gdzie powolność, gdzie słuszność sama? - Przecież łaskawie dozwalają X. Januszowi przystępu do Xiężnéj Zofji, któregośmy dotąd wyprosić nie mogli! I to jedno ma walor jakikol-

wiek. Reszta to szyderstwo tylko! Oddać im obligi i zapisy, pokassować processa, zdać się na łaskę, zdać się na przyjaciół, kłaść głowę pod miecz, gdy w mocy naszéj samemu sprawiedliwość sobie wymierzyć! — I czekać jeszcze ze ślubem do dyspens Papiéża! Mnie na nic Wasz Papież i jego pozwolenie nie potrzebne, z Waszém przeproszeniem, Mości Xięże!

Gedrojć pochylił głowę i zamilkł, zdawał się w milczeniu, prosić Boga o upamiętanie dla obłąkanych. Jan Zawisza odezwał się tylko.

— Zdanie sprawy na przyjaciół, nie wydaje nam się, ani tak dziwném, ani tak groźném, jak Wam Mości Xiąże.

A co się tycze sprawiedliwości, którą sami sobie wymierzyć chcecie, wierzcie mi, jeszcze nie było takiego Anioła na ziemi, któryby swego sumienia nie podając na szwank, mógł być Sędzią własnéj sprawy. Szanując Was, Panie Wojewodo, jako dobrze życzliwy. —

Wojewoda się skrzywił.

— Jako dobrze życzliwy, kończył nieuważając Zawisza, nie doradzałbym samemu w gniewie, rozsądzać między sobą, a nieprzyjaciółmi swemi. Cóż dopiéro, gdy ten sąd, ma być sądem miecza i wojną?

— Rzucacie nam nieustannie wojną w oczy, przerwał Radziwiłł, alec my tylko zmuszeni i w ostateczności, do niéj się dopiéro porwiém. Ani sobie, ani Litwie, ani nikomu jéj nie życzym.

— Dajcież dowody tego, rzekł Biskup, pokażcie chociażby intencje zgody, choć ścieżkę którą do niéj dójść można?

— Niech zadość uczynią obligom i przyrzeczeniom swoim, a stanie pokój i zgoda — zawołał Wojewoda — Naówczas je poniszczym, processa skassujem i koniec wszystkiemu.

— A jeśli wedle sumienia swego, w zupełności natychmiast uczynić zadość umowom nie mogą, bo je widzą prawom przeciwne? spytał Zawisza.

— Na cóż się pisali do nich, ś. p. Starosta Żmudzki i Kasztellan? odrzekł X. Janusz. Wszakże to było dobrowolném.

Umilkli; Gedrojć ozwał się po chwili.

— Więc żadnym sposobem tych warunków przyjąć nie możecie? Xiąże Wojewodo.

— Są to szyderskie propozycje! odrzekł Radziwiłł prędko, wiedzieli oni podając je, iż przyjęte nie będą! Wszakże jedno w nich tylko widziémy dozwolenie bywania u Xiężnéj dla X. Janusza, na które jak na lep złapać nas chcieli. Resztę chyba zwyciężony, nie zaś gotujący się zwyciężyć, przyjąć by mógł.

— Podajcież swoje ultimatum, rzekł Zawisza zbliżając się do Xięcia.

— To napróżno! odpowiedział Wojewoda.

— Sprobujcie, dodał Dorohostajski.

— W imie dobra kraju i spokojności jego, prosiémy Was o to, rzekł Biskup, połóżcie warunki Wasze. — Wszak to Wam uwłaczać nie może, mieliście wprzód podane sobie od PP. Chodkiewiczów kondycje, ukażcież swoje.

Radziwiłłowie spójrzeli po sobie i Wojewoda nic nie odpowiadając, z synem i P. Zenowiczem Wojewodą Brzeskim jął się naradzać. Nadszedł do rady P. Abramowicz Wo-

jewoda Smoleński i Lew Sapieha. Tym czasem posłowie w milczeniu oczekiwali końca. Lew Sapieha jak zawsze tak i teraz przyjaciel zgody i pokoju, gorąco umawiał teścia, aby słuszne podał warunki i nie uchylał się od zgody, gdyby ta można się okazała. Nareście Wojewoda dał się pożyć i wyszedł do Kommissarzy z propozycjami od siebie.

— Chcieliście, macie więc WMość ultimatum moje, i zaprawdę, jeśli się pilnie zastanowicie nad niém, przyznacie mi większą od PP. Chodkiewiczów powolność i chęć zgody.— Co słuszna przyzwalam na wszystko; co słuszna wszystko ze szkodą nawet swoją uczynię — Wierzcie WMość, ja chcę zgody, nie wojny, ale zgody bez upokorzenia, zgody bez szkody! — Oto moje warunki.

„Jeśli Kasztellan czuje się i rozumié przezemnie obrażonym w osobie swéj, jeśli i przyjaciele wspólni uznają że tak jest, gotowem jak być może najuroczyściéj, z ochroną wszakże familji i osoby mojéj, chętnie go przejednać. Co się tycze szkód i strat jakie ponieśli PP. Chodkiewiczowie przez zaciągi żołniérza, proces-

sa, nie odmawiam słusznego wynagrodzenia, i ze swych bodaj majętności przyłożę się, do zatarcia śladów téj opłakanéj sprawy. Małoli mojego słowa i przyrzeczenia, użyję dla większéj pewności teścia mojego Xięcia Wojewodę Kijowskiego i szwagra Xięcia Kasztellana Krakowskiego, aby za mnie poręczyli, że dopełnię co przyrzekam.— A zgodali na te kondycje, więc natychmiast wesele nie zwłócząc!

Mówił i obejrzał się na Biskupa, któren przyjął te słowa spokojnie i bez zadziwienia.

—Dziękujemy W. X. Mości, za tę powolność, jakąście na prośby nasze okazali, rzekł po chwilce, poniesiemy te warunki PP. Chodkiewiczom i dołożym starań wszelkich, aby je przyjęli. Nie taim jednak, iż nie zdadzą się pewnie dostatecznemi. Teraz jeszcze raz serdeczne dzięki Wojewodo.

Radziwiłł skłonił nieco głowy.

—Małożli jeszcze ze mnie? spytał. Wejdźcie w to co czynię, i w położenie moje, gdym pewien swego, a uznacie, że czynię bardzo wiele.

Nikt na to nie odpowiedział, a Jan Zawisza postąpił sam ku Wojewodzie z pismem w ręku.

— Aby zbliżyć W. X. Mość z PP. Chodkiewiczami, nie dość myślę, warunków z obu stron podawanych, zwłaszcza, gdy nikt nic ustąpić nie chce i na oko powolność okazując, przy swojém stoi. Pozwól W. X. Mość, nam pośrednikom w imieniu J. Królewskiéj Mości działającym, nasze mu podać, a raczéj królewskie propozycje. Jeszcze o nich nic spełna, nie wiedzą PP. Chodkiewiczowie, którym ich nie ukazywaliśmy, chcemy abyś W. X. Mość wprzódy je widział i osądził, azali na nie przystać możesz. Podaliśmy warunki piérwsze, jako medjatorowie, przynosząc co nam dano, te zaś pokładamy W. X. Mości, nie od PP. Chodkiewiczów, nie od siebie, ale od Jego Królewskiéj Mości.

Wojewoda wyciągnął rękę po papiér i chwycił go skwapliwie, w twarzy jego jednak niedowierzanie jakieś i szyderstwo zimne świéciły.

— Od Jego Królewskiéj Mości! powtórzył,

to toż samo co od PP. Chodkiewiczów, znamy jak serce Pańskie skłonne jest dla nich.

— Równo dla wszystkich — rzekł Biskup. Wszyscy poddani równi są w oczach i sercu J. K. Mości.

— Równi! powtórzył Radziwiłł — bodajby! Biéda że nie tak jest. J. K. Mość chce, aby wszystkie jego dzieci jednakowo się modliły, poszcząc Piątek i Sobotę!

— Cóż w tém złego i dziwnego! podchwycił Zawisza — Każdy swoją wiarę ma za najlepszą, bez tego nie miałby prawdziwéj wiary — Mając ją za taką, z prawdziwéj tylko przychylności, usiłuje wszystkich na najlepszą zwrócić drogę.

Wojewoda się uśmiéchnął.

— Czytajmy cedułę, rzekł.

I czytał co następuje.

— Sprawa cała ma być zawieszona do Sejmu! Na Sejmie ma być wyznaczony dzień i miejsce, na których z obu stron naznaczona pewna liczba przyjaciół, do rozstrzygnienia o krzywdach, sprawach poczętych i pretensjach wzajemnych, dla zaspokojenia ich w cza-

sie zamierzonym. Jeśliby zaś przyjaciele w czasie zamierzonym zgody uczynić nie potrafili, tedy to wszystko J. K. Mość jako superarbiter, w przytomności tychże przyjaciół na tydzień przed skończeniem Sejmu zdecyduje. Na decyzji J. K. Mości, obie strony poprzestać mają. Tym czasem zaś złożywszy broń rozjechać się spokojnie, żadnéj zaczepki nie czyniąc. Nim zaś Sejm nastąpi Kasztellan żadnéj obietnicy o rękę Xiężnéj, nikomu nie uczyni; a przystęp do niéj ma być wolny Xięciu Januszowi.

— Na niektóre punkta, odpowiedział zaraz Wojewoda, ale na niektóre tylko, mógłbym przystać, na resztę nie podobna. A mianowicie, ażebym sprawę swoją na przyjacioły, albo na Króla zdawał! Na Króla, któren całém sercem i duszą za PP. Chodkiewiczami i za niemi pewnie osądzi! Na przyjacioły, którzy nie czują co ja czuję i w których oczach lżejsza zgoda, bo ich jak nas nie boli nic. Nigdy! nigdy, nie mogę na to przystać! Prędzéj już na wszelkie inne, niż na te propozycje, które by mi ręce związały,

miecz z ręki wytrąciły i bezbronnego nieprzyjaciołom oddały, na upokorzenie i szkodę niechybną.

Nie śmieli nic powiédzieć przytomni; Wojewoda ciągle powtarzał trzęsąc papierem — Nigdy! nigdy!

Widząc, że nic nie poczną Panowie Kommissarze, mieli się do wyjścia, wziąwszy tylko podane już na pismie warunki Wojewody, z któremi poszli do PP. Chodkiewiczów.

Xiąże Gedrojć nie chciał na chwilę spocząć, pókiby spokojności nie zapewnił i nie dokazał swém pośrednictwem przynajmniéj zawieszenia broni. Śpieszył się tém bardziéj, im widoczniéjszém było, że nazajutrz Radziwiłłowie rozpocząć mieli, może niczém potém niewynagrodzoną wojnę i długi szereg klęsk na kraj sprowadzić mającą.

Powiększał obawę rzut oka na dwór Radziwiłłowski, cały pod bronią krzątający się, cały wojną tchnący — Kardynalja pełna była żołdactwa, rotmistrzów, półkowników; zawalone dziedzińce stosami zbroi i broni — W każdym kącie szeptano i naradzano się.

Nieustannie wychodzący na szpiegi, podkradali się pod kamienicę Chodkiewiczowskę, opatrywali, badali i powracali z doniesieniami nazad.

Przeciwnie u Chodkiewiczów, jak tylko działa i wojsko wprowadzone zostały, wszystko umilkło i zawarło się. Bramy cały dzień stały zaparte, załoga w milczeniu spoczywała. Mało kiedy szmer lub hałas z dziedzińców wylatywał na ulice. Przechodzący dziwili się téj pozornéj spokojności w wigilją wojny, któréj tu nic nie okazywało, chyba te kilka dział, stojących przed wrotami w ulicy, przy których mała straż tylko zostawiona była.

Natychmiast wyszedłszy z Kardynalji, udali się Panowie posłowie do Chodkiewiczów, niosąc podwójne propozycje, swoje warunki i Radziwiłłowskie. Przyjęci i wprowadzeni zostali do Kasztellana, gdzie Starosta Żmudzki, Starosta Borysowski i Wojewoda Mniszech przytomni byli także.

Podano na stół odpowiedź Radziwiłłów, zimno przez Chodkiewiczów przyjętą.

— Wiedzieliśmy, że tak będzie, rzekł

Kasztellan, nie chcą zgody; dziej się wola Boża.

— Wola Boża pewnie nie jest za wojną, odrzekł Biskup. Na miłość ukrzyżowanego ulitujcie się nad Krajem, starajcie się nie dopuścić wojny. Pomiarkujcie czyli podane przez Radziwiłłów warunki, nie mogą żadną miarą być przyjęte. One zdają się nieuciążliwe?

— Nie możemy ich przyjąć, rzekł Jan Karol, żadnym sposobem.

— Dla czegoż? — spytał Zawisza z Dorohostajskim, wszakże szkody wynagrodzić obiecuje Wojewoda, a nie dość téj obietnicy jego — stawi za siebie poręczycieli.

— Wiedział, że mu wiary nie damy! dodał Kasztellan. Ale to wszystko nic, niech powróci zapisy i obligi, niech processa skassuje, niech szkody nagrodzi.

— Wszystko to w jednéj chwili stać się nie może — dorzucił Dorohostajski. —

— Może, i bardzo może, odpowiedział Kasztellan, byleby Wojewoda szczérze chciał. Lecz to są tylko pozory, Radziwiłłowie pra-

gną wojny, oni nie darmo zgromadzili sześć tysięcy ludzi, chcą zaburzenia, chcą przy jednym ogniu i swoją sprawę i sprawę różnowierców Konfederacji upiéc — To widoczna.

— Tym ci bardziéj trzeba się starać o zgodę — rzekł Biskup. Oto są warunki od nas J. K. Mości Kommissarzy podane. I z tém ukazano pismo, jakie wprzód Wojewodzie Radziwiłłowi przedstawione było. Lecz Chodkiewiczowie, nie już na kilka, ale na żaden z podanych punktów nie przystali.

— Spuścilibyśmy się chętnie na sąd J. K. Mości, rzekł Jan Karol, ale nieprzyjaciele nasi powiedzą, żeśmy ich z umysłu pociągnęli przed Sędziego, dla nas więcéj, niż dla nich skłonnego. Co się tycze przyjaciół, ci nas rozsądzić nie potrafią, oni nie wiedzą ani wiedziéć mogą, co nas dzieli i ileśmy obrażeni— My swoich uraz, swojego cierpienia pokładać i przypominać nie będziemy, nie chcemy. Niech rozstrzyga oręż, jak dawniéj bywało — będzie to najlepszy Sąd Boży!

Naprózno nalegali, przedstawiali, prosili godzin kilka Kommissarze, naprózno każde-

go z osobna starali się pokonać. Chodkiewicze stali twardo przy swojém, a Jan Karol powtarzał.

— Chcą wojny, niech wojnę poczną, na ich duszę krew wylana — my za nią przed Bogiem nie odpowiémy. Pokrzywdzeni przed Sądami, pociągnieni przed Trybunały, najniesłuszniéj skazani na kary pieniężne, zagrożeni bannicjami; widzi Bóg cośmy przecierpieli, i Bóg to chyba nagrodzi.

— Xiąże Wojewoda chce Was przejednać, rzekł Dorohostajski, chce szkody nagrodzić!

— Jak przejednać! zawołał Jan Karol, jak? powié nam — wybaczajcie! kiwnie głową i to wszystko? Na klęczkach nas przebłagać powinien.

— Panie Starosto, chrześcjańska rzecz darować urazy.

— Darowuję mu je przed Bogiem, ale nie daruję przed światem. Cóż byłoby daléj, gdybyśmy na to dozwolili i zimném przeproszeniem kontentowali się. W coby się obróciła poczciwa nasza sława? — jaka zakała imieniowi i familji. Dzieci nasze wstydziły-

by się nosić nazwiska pokalanego sromotną unizonością. W niedalekim czasie, powiedzianoby o nas, żeśmy przyjęli, co nam z łaski rzucono, bośmy się zlękli. Ale nie, prócz jednego Boga, nikogo się nie boim! Chcą wojny, nie zadrżym i my przed nią, dostoim placu — Panom Konfederatom.

Do poźnéj nocy trwały prawie umowy, przekonywania bezskuteczne. Kommissarze napróżno starali się przed terminem ugodę uczynić, napróżno wysilali się na różne przełamania sposoby, Kasztellan i Jan Karol, pozostali nieugięci.

Smutny wyjechał z kamienicy Chodkiewiczowskiéj Biskup Gedrojć —

— Czyniliśmy co mogli, rzekł do Zawiszów, wszystko napróżno — Jutro dzień straszny i nasze miejsce przy boku Wojewody, aby mu nie dać podnieść oręża. Staniem jeśli będzie potrzeba, między niemi, piersią do ich dział, i niech strzelają jeśli chcą.— Pozwolimże na takie w kraju zamięszanie, na tak zgubny przykład?

— Nie powinniśmy dozwolić, odparł Za-

wisza, a czy nas słuchać zechcą, to wątpliwa.

— My o tém nie myślmy — przerwał Biskup — Jutro rano do Wojewody i cały dzień ten przy nim — nie ustępujmy krokiem. W imieniu Królewskiém zaprzeczym wzięciu się do broni; nie odstąpim od nich na krok, może też wstyd zbawienny przyjdzie.

— Co daj Boże! dorzucił Dorohostajski, gorzéj tu widzę zajątrzone obie strony, niżeli się spodziéwać było można. A! co ma być, to będzie!

I tak rozjechali się.

II.

W gospodzie Malcherowéj.

II.

W gospodzie Malcherowéj.

Naprzeciw kamienicy Chodkiewiczowskiéj, był szynk miodu i wina Pana Malchera, jeden z najbardziéj uczęszczanych w mieście.— Teraz on pełen i nabity różne-

go rodzaju ludzi; ścisk w nim i wrzawa największa, wszystkie izby zajęte, wszystkie stoły poobsiadane, ławki, zydle i stołki pozajmowane; ledwie się przez ciżbę przecisnąć można, ledwie dać słyszéć wśród wrzawy. Tam się zabiéra na bójkę i do szabel się już mają, na bakier czapki nastawiwszy, kręcąc wąsa i przeciw sobie stojąc. Owdzie niesłychana przyjaźń, uściski gorące i do łez rozczulenie nad dzbanem. Tam po kątach szepty jakieś tajemnicze; a zewsząd słychać wołania.

— P. Malcher butel miodu Kowieńskiego!

— Podajcie tu wina!

— Dwa kubki dla nas!

— Grzanego z korzeniem tutaj!

— Nastąpiłeś mi Wasze na połę!

— Nie tykaj mnie Mości Panie —

— Ustąp się do kroćset, bo cię zamaluję po łbu.

I tym podobnie.

Wśród izby trzaskący ogień na kominie rozłożystym, obsiedli go wkoło żołdacy i gwarzą i śmieją się i w kości grają. Dalej kilku

nad kartami, a drugie tyle widzów; w innym kącie jakieś ciekawe opowiadanie, któremu ucha nadstawia słuchaczów koło.

W ciemnym kącie izby, siedział P. Brożek, cmokał on nad kubkiem kwaśnego wina i wzdychał, nie mogąc zapomnieć owego ducha, owej wróżby śmierci, której starał się wspomnienie w winie utopić.

— Za co umiérać, dla czego umiérać? mówił do siebie — Czyżem ja tak już się nażył na świecie, czym tak nabroił, czym tak nagrzeszył? Zdaje się że nie — Czym ja tak bardzo na tamtym świecie potrzebny, albo już tu tak na nic się niezdał? Dalipan, ja tego nie rozumiém.

A w miarę jak kubka dopijał, pocieszał się. i dodawał sobie śmiałości.

— To być nie może ażebym ja umarł! Ja czuję życie w sobie! Jestem silny i zdrów. Nie koniecznie bo ten duch, śmierć ma znaczyć. Może to inna przestroga; a może mi się to wszystko tylko przydało. Boć wszyscy mówią że to czyste brednie i nikt wierzyć nie chce. Ale już taki że widziałem ducha, to widziałem, i nie byłem pijany, to pewna,

Gdy tak z sobą sam rozprawia i rozmyśla, ujrzał Pan Brożek wchodzącego do gospody Tomiłę i uśmiéchnąwszy się powstał z zydelka, spiesząc przeciw niemu.

— Witajcie! czekam na Was!

— Bóg zapłać, umyślnie też do was spieszyłem, aby się zobaczyć i pogadać. Mam do WMośći pilną potrzebę.

— Jaką? spytał Brożek, jeżeli pieniędzy to dalipan zgóry powiadam, szeląga przy duszy nie mam. Ostatni talar dałem na mszą niedawno, a jurgieltu nieprędko zobaczémy, bo teraz jest go komu płacić, dworscy poczekać muszą.

— O! wcale nie o to chodzi, rzekł Tomiło, nie wiém tylko, jakby to Wam wytłumaczyć.

— No, a cóż to takiego! To jakieś do licha mądre rzeczy myślicie mi prawić.

Tomiło zamilkł.

— A naprzód, rzekł, zapijmy tę sprawę, wino język rozwiąże mnie, a Wam serce?

— Hę? spytał Brożek — to tu do téj sprawy i serce potrzebne?

— Trochę — śmiejąc się szepnął Tomiło i zawołał na gospodarza.

— Panie Malcherze, dobrego wina kwartę!

— Wnet, wnet! zaraz.

Po dobréj chwili przynieśli wino, a Tomiło dopiéro podpoiwszy Brożka, jął mu pokładać sprawę swoją.

— Jest rzecz taka — Chcecie zarobić kilka czérwonych złotych węgierskich?

— Z duszy serca! zawołał Brożek — kieszeń moja pusta, a łokcie przynajmniéj u codziennéj sukni powycierane. Jeśli tylko zarobek uczciwy i sumienia nie naruszy.

— Waszmości sumienie nawet o tym zarobku wiedzieć nic nie będzie — rzek Tomiło — Cała rzecz —

— A nuż mówcie, nie dręczcie daléj!

— Cała rzecz, abyście mnie do Waszéj kamienicy wprowadzili i z niéj nazad wywiedli. —

— Co? co? przysłuchując się szeptaniu coraz niewyraźniejszemu Tomiły, zapytał Brożek — Na co? jak to?

— Ani na co, ani jak, nie powiém, bo

Wam tego wiedzieć cale nie potrzeba — Zrobicie to czy nie?

Brożek tak się zamyślił, że o poczętym kubku zapomniał.

— Hm! hm! rzekł po chwilce, coś bo to zdradą pachnie. Powiedzcie mi Waść, coś za jeden. Ja dotąd nie pytałem o to — At, myślę, poczciwe chłopczysko jakieś, i po wszystkiém. Ale teraz, musicież mi powiedzieć przynajmniéj, co zacz jesteście, i dla czego chcielibyście zajrzéć do naszéj kamienicy?

— A koniecznie chcecie to wiedzieć? spytał Tomiło. —

— Jusciż muszę — rzekł Brożek.

— No pijcież jeszcze, a ja Wam wszystko już powiém.

— Całą prawdę —

— Z końca w koniec, uważajcie tylko, aby nas kto nie podsłuchał. Do Was Panie Brożek.

— Wasze zdrowie!

— Ja jestem, ubogi krewny, daleki JMPana Kanclerza! —

— Co Waść mówisz?

— Istna prawda — nie mięszając się odpowiedział Tomiło, i na jego dworze, kończył dalej, zajmuję pewne miejsce znaczne.

— Wasz Pan Kanclerz, przeciw nam, przerwał Brożek kiwając głową — zięć Wojewody!

— Ależ Katolik.

— Nu Katolik! to prawda — A pocóż W. Mości do kamienicy?

— A powiedzieć Wam prawdę —

— Toć bo tego i chcę i czekam. —

— Do Was, Panie Brożek. —

— Prze zdrowie Wasze, Panie — A jak się zowiecie?

— Ja? rzekł Tomiło. —

— Wy? spytał Brożek. —

— Zowię się — pijcie bo, pijcie — nie dokończyliście Waszego kubka. —

— Wasz jeszcze niedolewany — ani razu, mój dwa — Ale jakże się zowiecie, mieliście powiedzieć, kończcie. —

— Zowię się — Tomiło szukał sobie po głowie nazwisko — Hreczyna. —

— Hreczyna? a imie?

— Jan — (niech będzie Jan) rzekł w du-

chu, tylko nie mianujcie mnie tu w gospodzie po nazwisku, dodał cicho.

—No, no, będęsie starał, Panie Hreczyno. A interess Wasz do kamienicy naszéj—

—Tomiło szepnął mu na ucho.—

—Czarne oczy!

—Co? oczy? jakto oczy?

—Miłuję tam u Was w fraucymerze Xiężnéj jedną dziewczynę i chciałbym ją zobaczyć—

—Powiedzcież no tylko jaką—rzekł Brożek śmiejąc się, ja znam je wszystkie. Posyłają mnie raz wraz, to za tém, to za owém na miasto. Jak jéj imie?—

—Jak imie? podchwycił Tomiło skrobiąc się w głowę—Ale bo Wy nie pijecie P. Brożek. Do Was.—

—Zdrowie Wasze Panie Hreczyna!

—Cyt, z tém nazwiskiem!

—Prawda, prawda! A jak jéj imie?

—Zgadujcie!

—Ale ba, tam ich kopa tych panien, a wszystkie jak łątki—kto zgadnie, która Wam w oczy wpadła.—

— A sprobujcie.

— Może Panna Małgorzata, wysoka brunetka? tylko że blada. —

— Nie, nie ta. —

— Wesoła Juljanna?

— Hm?

— Tłusta, mała blondynka. —

— Zgadliście.

— Pewnie?

— Pocóż bym miał Was zwodzić, chciałbym ją zobaczyć choć zdaleka, a na to potrzebaby mi wkraść się do kamienicy z W. Mością.

Ale nie dostaniecie się do niéj, bo tam ich Ochmistrzyni, jak oko we łbie pilnuje!

— Bylebym wypatrzył, gdzie teraz Xiężna mieszka z niemi, rzekł Tomiło, bo się kędyś przenieśli w środek kamienicy.

— Jabym Was wprowadził, po chwili namysłu odezwał się Brożek, cóż kiedy teraz u bramy srodze pytają.

— A zna Was straż?

— Jakże nie? gdyby i nie znała, to po barwie dworu poznają i puszczą.

— A wiecie co? rzekł Tomiło.

— Naprzykład?

— Dajcie mi swoją barwę, pójdę na chwilkę i powrócę.

— Hm? a jak tam Was dworscy zaczepią, gdyby swego i nie będziesz się im umiał wykręcić, to cię wezmą i popadniesz w biédę, a z Tobą i ja. —

— Bądźcie o to spokojni, odpowiedział Tomiło — dam sobie rady. Teraz mrok niełatwo kto w nos mi zajrzy, a choćby i zaczepiono, nie już nie mam głowy na karku?

— Ja bo przeczuwam jakieś licho?

— Kubek Wasz pełen! zawołał Tomiło, Wy bo dziś nic nie pijecie. —

— Już mi i tak w głowie kręci.

— Do Was, Panie Brożek!

— A dacie mi barwę na półgodziny?

— Kiedyżbo straszno do licha!

— Czegoż się boicie, ja to pojdę, nie Wy, i ręczę, że za półgodziny powrócę.

— Ależ bo Wam pilno do téj Juljanny, któréj pewnie i nie zobaczycie!

— Chodźcie przemienim suknie i postawię

Wam jeszcze kwartę, a pięć czérwonych złotych do ręki wezmiész za tę sztukę.

P. Brożek mimo upojenia i zawrotu głowy, miał jakby przeczucie, że źle czynił, nie mógł się jednak oprzéć naleganiom i przeszedłszy do bocznéj komórki, barwę swoją oddał, wziąwszy na się opończę Tomiły. Sam zaś usiadł z kubkiem w ręku jednym, drugą potrząsając czérwone złote w kieszeni.

Tomiło nie bawiąc wymknął się z izby; lecz od drzwi zawrócił nazad.

— Musicie mieć hasło? spytał P. Brożka. — Powiedzcie mi, żebym je oddał u bramy. —

— Białocerkiew — szepnął na ucho napity i palec na ustach położył.

Dworzanin dosłyszawszy ledwie, pospieszył, przesunął się przez ulicę i do wrótek kamienicy Chodkiewiczowskiej dostał się. Szedł z taką śmiałością i pewnością, że pilnujący dział, słowa nie rzekłszy, na barwę tylko spojrzawszy, puścili go. Dopiéro w fórtce, straż go spytała o hasło.

— Białocerkiew! rzekł śmiało Tomiło i wbiegł w dziedziniec. Tu rzuciwszy okiem

dokoła na prędce, posunął się pod murem spiesznie, oglądając wszystko, jak mógł, nie opuszczając najmniejszego zakątka. Przeciskał się wśród stojących i leżących żołniérzy, koni, narzucanego kupami oręża, zuchwale, odważnie. Nikt go nie zaczepił, on nikogo. Tak obydwa przewartowawszy dziedzince, dojrzawszy stanowiska dział, miejsc przeznaczonych dla żołniérzy na murach, jął się nazad przeciskać ku fórtce od Zamkowéj ulicy. Teraz już szedł samym środkiem i rzucając tam i ówdzie okiem na wysokie mury, spoglądał także na snujących się żołniérzy, których mijał. Nic nie pominął, czegoby przelotem przynajmniéj, nie obejrzał. Jak wszedł, tak nazad wyszedł, powtórzywszy dane hasło, wyskoczył w ulicę i wpadł do Malcherowéj gospody, w któréj P. Brożek jeszcze cmokał z kubka zostawione wino, lękając się pić prędzéj, aby mu nagle głowy nie odjęło. —

— Już z powrótem? zawołał ujrzawszy go, tak prędko? Widziałeś ją?

— Widziałem, odparł Tomiło. Bóg Ci

zapłać za usługę — Widziałem co chciałem, teraz bierz sobie nazad swoje suknie i bywaj mi zdrów. —

— Czegoż tak prędko?

— Bo mi pilno!

I zrzuciwszy barwę, nakrywszy się opończą, pobiegł Tomiło do Xięcia Janusza, od którego był wysłany. —

Młody Xiąże, u siebie właśnie naradzał się z Półkownikami i Rotmistrzami P. Zboryńskim i innemi o jutrzejszém dobywaniu kamienicy, gdy wszedł zapukawszy do drzwi i oznajmiwszy się Tomiło.

— Co nowego przynosisz? spytał go Xiąże. Słyszałeś co?

— Nic nowego nie słyszałem, ale byłem w kamienicy Chodkiewiczowskiéj —

— Jakżeś się tam wkradł?

— Mała to rzecz jak, M. Xiąże, odpowiedział Tomiło, dość żem był, i jak mógł, co było pod ręką, obéjrzał. Przebiegłem oba dziedzińce, widziałem jaki gdzie stoją armaty, jakie miejsca porobiono dla żołniérza.

— Zuch z ciebie, zawołał Xiąże, nie zapomnę ci téj usługi Tomiło, a teraz mówże prędzéj, własnie nam się ta wiadomość najpilniéj przyda.

— Wojska w kamienicy, jak napchał, gdyby sledzi, rzekł Tomiło, ledwiem się pomiędzy ludźmi, końmi i zbroją przecisnąć mógł. Na mury pozaciągali działa i śmigownice, wycelowane w ulice, jakby na oblegających, — najsłabiéj od Cerkwi, nie wiém czy tam jest dział troje; najmocniéj na dwie strony od Zamkowéj i Sawiczéj — Pilno też opatrzono od XX. Ostrogskich placów i budowania. Porobiono zakryte chodniki dla żołniérzy, z strzelnicami tak, że aby ich dostać, trzebaby wprzód mury powalić, a oni niewidziani nas razić mogą. Podle bram łańcuchy mocne i kraty żelazne leżą, tak że choćby wrota wywalone zostały, niełacno by się dostać wyłomem.

W dziedzińcu i na przymurku, krom kuli i prochów, wielka ilość kamieni przygotowana. Myślę też, iż niedarmo kotły wielkie w dziedzińcu, pewnie w nich wrzątek na głowy nasze gotować myślą. —

Xiąże Janusz i przytomni, spójrzeli po sobie.

—W polu jak w polu, rzekł Zboryński, tambym ich chciał miec, i wyzwaćby ich na rękę, niechby wyszli za Wilją—ale tu kat im da rady w téj lisiéj jamie!

—Zaprawdę trudna ich będzie dobyć, dodał Tomiło.

—Niejużci nie podobna! zawołał Xiąże—Zburzyć z lichem domostwo, wyłamać część muru i wyłomem się dostać.

—Z pozwoleniem W. X. Mości, przerwał Tomiło, niełatwo tu wyłom zrobić. Ja tam nie wojak i tych spraw niebardzo świadomy, ale niéma miéjsca zkąd burzyć mury. Ciasno w ulicach, jak w szyi do piwnicy. A wybiwszy dziurę nawet, nie łacno przez nią w środek, kiedy ze środka i z góry bronić będzie załoga.

— Ogień podłożyć i dymem podusić! zakrzyczał uderzając w stół ręką Xiąże Janusz—Może jak dym poczują, wyjdą w pole!

—Nie boją się oni ognia! rzekł Tomiło, mają go czém gasić. Ba i ogień niełatwo się

weźmie! A siedzieć pewnie będą w jamie do ostatka, nie wykurzyć ich.

Xiąże się namarszczył.

— Do jutra—zobaczym jutro, rzekł — Idę do Xięcia Wojewody—Jak świt proszę WMościów, stać w gotowości z półkami i pocztami, każdy w swojém miejscu, do znaku. Dana będzie WMościom w czas wiadomość, jak się obrócić macie. Żołniérzowi nie dać się rozpraszać po mieście. Nie brak, wiém, na niczém żołdakom, niechże będą spokojni i mieszkańców nie krzywdzą, bo i tak na sumieniu i imieniu naszém, każda skarga pospolitego człeka, uciśnionego teraz.

Rzekł i skinąwszy głową, pobiegł raczéj niż poszedł do ojca.

Xiąże Wojewoda naradzał się także z kilką przyjaciółmi o jutrzéjszym terminie.—Żwawo tu rozprawiano, przyjaciele radzili jaki taki pokój raczéj, niż poczęcie wojny. Wojewoda gniéwał się i poruszał—Znać było, iż w duszy swéj nietylko nie żądał rozstrzygać sprawy orężem, lecz dowiedziony do ostateczności, która go prawie do tego zmuszała, sam na siebie i na wszystko się jątrzył. Lękał się nie-

wyrachowanych pierwszego kroku skutków. Walczył sam z sobą, bał się upokorzenia, nie miał odwagi do walki, nie wiedział co począć, a jednak w ustach ciągle wojną szermował i nią się odgrażał.

Xiąże Janusz wszedł na same słowa ojca, któren odpowiadał Dorohostajskiemu.

— Chcecie pokoju, dajcież środki do niego! Nakłońcież Chodkiewiczów —

— Ani myśléć o tém, odparł wchodzący Janusz—tylko co świeże mam ztamtąd wieści. Ufortyfikowali się jak przeciw napadowi Tatarów. Działa na wszystkie strony wymierzone, kamienie kupami na murach, wrzątek w kotłach, wrota pozaciągane łańcuchami i kratami! Ludu jak maku w kamienicy.

Wojewoda z widoczną niechęcią słuchał synowskiéj relacji; on chciał zwycięztwa łatwego, rozjątrzała go myśl oporu długiego, walki srogiéj. Wstrząsnął się cały, poruszył ramionami i zawołał.

— Zobaczym jak długo się potrzymają! zobaczym jutro! Zakazałeś WMość ludzi? będą gotowi —?

—Od rana czekać mają rozkazu—

—Rozesłać jeszcze do wszystkich prosząc, aby się nie rozpraszali, a skupili wszyscy na Łukiszkach, zkąd do miasta za danym rozkazem wejdą. Gotowi oni, i my też nie zaśpim, dodał zapalając się—A kiedy się zacznie wojna, kiedy się raz zapali, brońcież się PP. Chodkiewicze, wy i wasi, bo nie będzie przebaczenia nikomu, względu na nic i biada wam gdy upadniecie!!

III.

Szósty Lutego.

III.

Szòsty Lutego.

Jeszcze nie świtało nazajutrz, a już ognie widać było po całém mieście i ruch niezwykły zwiastował coś nadzwyczajnego. Tłumy wojskowych w milczeniu prze-

chodziły tam i sam ulicami, słychać było bicie młótami u wrót, które potężnie zatarassowywano ze środka. W domach bliższych teatru spodziéwanéj wojny, zabite nawet były okna dolne i górne, w dalszych od środka tylko zasłonione deskami. Niektórzy sąsiedzi powynosili się z kamienic do Chodkiewiczowskiéj przytykających i zostawili domy pustką stojące. — Wszędzie przygotowywano się na wypadek szturmu i bitwy w mieście.

Gdy dzień zaświtał, nie ukazali się na ulicach ci, którzy zwykle równo ze dniem je zaludniali—wszystko milczało, nikt nie wychodził, nikt znaku życia nie dawał, tylko w Kościołach i Cerkwiach, jak codzień odezwały się dzwony, dziś próżno wołające na modlitwę. Otwarto drzwi, nikt nie przyszedł i ławki stały puste i Xięża odprawiali msze dziadom tylko z pod kruchty.

A w głębi domów i kamienic, co się działo, opisać trudno; noc przeszła bez snu, dzień nadchodził niespokoju i bojaźni. Wyglądano szparami okien zapartych, żeby ujrzéć co się w ulicach dzieje, przysłuchiwano się, azali

nie da się co słyszéć zwiastującego, że już do walki przyszło. Ale wszystko zrana ciche było i nic nadzwyczajnego się nie stało, tylko o dziewiątéj już prawie rannéj ruszyły z tententem wojska Radziwiłłowskie w miasto, skupiając się w ulicach Senatorskiéj, Ś. Duskiéj, wokoło Ś. Jana, pod Zamkiem i na placyku pod Cerkwią Bogarodzicy. — Wśród głębokiego milczenia w mieście, tentent rozległ się daleko, a mieszkańce potruchleli od niego.

— Już, już oto się bić będą! Już wojska Radziwiłłowskie idą! Już idą, już otaczają kamienicę, wołano wszędy.

Wysłani ostróżnie na zwiady, potwierdzili domysły. Wojska stały już w mieście.

Tym czasem PP. Kommissarze Królewscy śpieszyli do Wojewody, Biskup Gedrojć, postanowił nie odstąpić go, w ciągu całego dnia głowę tam raczéj położyć, niż na wzięcie się do oręża dozwolić. Jakoż stary Xiąże wezwawszy Panów Zawiszów, razem z niémi udał się do Kardynalij. Tu już wielką radę zastali, nie o zgodę, nie o warunki pokoju, ale o sposób w jaki napaść i szturmować było

potrzeba. Każdy inaczéj radził, każdy po swojemu pojmował, a wszystkie rady i projekta podawane złe się Wojewodzie wydawały. On chciał jednym zamachem wpaść, rozbić, zniszczyć, powiązać, zwyciężyć i wesele wieczorem odprawić. Napróżno silono się mu okazać, że to było niepodobném.

— Z takiém wojskiem jak nasze nie pożyć téj garstki! wołał.

— Im liczniéjsze, tém właśnie z niém trudniéj, odpowiedział mu Dorohostajski. Cóż W. X. Mość poczniész, gdy tu nawet połowy go pod kamienicą nie pomieścisz; a do szturmu wcale miéjsca niéma. Tysiąc nie wiém ludzi czy wygodnie stanie. A co robić z jazdą? Dobra ona w polu, tu cale nie przydatna, na mury nie polezie, strzelać i rąbać niéma kogo.

— Wywalić naprzód bramy — zakrzyczał Wojewoda!

— Bram bronią działa, odparł ktoś — po kilka ich przy każdéj. Nim przystąpim do nich, wiele padnie; bo z góry ogień poczną, a na strzał przypuściwszy zmiotą do ostatka.

— Szturmować od Cerkwi do nich, tam najsłabsi—przerwał Xiąże —

—Z dziedzińca Cerkwi? spytał Zboryński— Byłem tam dziś—Xięża oświadczyli że w dziedzińce nie puszczą, bo gdyby z téj strony strzelanie się poczęło, szwankowaćby musiała Cerkiew, będąca pod opieką konfederacji, któréj zapewne W. X. Mość, przyczyną zagłady być nie zechcesz. Świéżo nawet dach dla niedostatku gontą pokryty, byłby niechybnym początkiem pożaru.

Xiąże Konstanty Ostrogski Wojewoda Kijewski dodał:

— Byli z tém Mnisi u mnie, *saecuritatem*— dla domu Bożego prosząc—przyrzekłem iż się starać będę, aby jeśli, uchowaj Boże, do walki przyjdzie, Cerkwi w żaden sposób nie tknięto. I słuszna, dodał, aby, gdy i tak Cerkwi tyle naodbiérano, jeszcześmy sami sobie szkody nie czynili. Dałem rozkazy PP. Rotmistrzom, aby Cerkiew szanowali.

— Wiedzieli więc PP. Chodkiewicze, dla czego tam dział nie stawili! rzekł Wojewoda. Do licha rozumni! Radźcież WMość jak począć.

— Jeśli poczynać mamy, ozwał się dowódzca ludzi Xięcia Ostrogskiego, to nie inaczéj, ino do bramy szturm od Sawiczéj uliey przypuszczając. Nie bez tego, abyśmy ludzi nie stracili; boć ich tam naginąć może siła, ale do wieczora, bramę przemódz można. Może też, gdy ujrzą, że się kusim o wrota, wyjdą ku nam, a tak można będzie bić się w ulicy, gdzie przynajmniéj równa sprawa.

— Nie wyjdą, abyśmy ich nie otoczyli, rzekł Zboryński. P. Starosta Żmudzki, nie da się tak łatwo wziąść. Straciłby ludzi łacno, bobyśmy z naszą siłą odcięli ich prędko i jak w saku pobrali.

— Jakże WMość radzisz? spytał Zboryńskiego Wojewoda.

— Jeśli już do tego przyjdzie — odpowiedział Zboryński, to razem na wszystkie strony szturmować, do wrót i do murów na okół.

— Ludzi natracim i nic nie zrobim, rzekł inny — Całą siłą w jedno miejsce —

— A kiedy tu całych sił nie pomieścisz, ba części nawet na jeden punkt. Ciasno i rozdać się wojsku niéma gdzie, człek będzie człeka

dusił i w téj ciżbie swój swego nie pozna. Jak się ściśniem w jedną kupę, wybiją nas najłatwiéj, dawszy kilka razy ognia, pomostem nas pościelą wszystkich.

— Alboby, ozwał się po chwilce jeden z dowódzców, udać, że zaczynamy attak od Cerkwi. To najsłabsza ich strona, rzucą się bronić, a drugi oddział może tym czasem zdobyć bramę od Sawiczéj ulicy.

— Myślicie że u nich już tak mało ludzi, iż broniąc muru od strony Cerkwi, nikogo przy wrotach nie zostawią? Mają oni dość i nadto prawie na załogę dla domostwa.

Umilkli wszyscy — I znowu wnoszono rady różne, a żadna nie podawała sposobu pewniéjszego dostania się do kamienicy, bez wielkiéj straty w ludziach i długiego boju. Wojewoda się niecierpliwił, czas na naradach upływał, słońce się podnosiło ku górze, a jeszcze nic nie postanowiono. Wojska tym czasem zgromadzone stały, oczekując od dowódzców rozkazu, któren nie przychodził.

A w kamienicy Chodkiewiczowskiéj jak gdyby żywéj duszy nie było, milczenie panowało

głębokie — Wrota stały zaparte, zatarassowane furtki, zabite okna. Na murach rzadko kiedy ukazała się głowa w szyszaku lub misiurce i znikła natychmiast. Ani szczęku zbroi, ani tententu koni słychać nie było ze środka. Nikt nie wychodził na miasto, nikt z miasta nie wszedł wewnątrz.

Ale pomimo téj spokojności, téj ciszy, była gotowość wszędzie, stali żołniérze na murach, nabito broń, zapalono lonty dział. Sam Jan Karol w błyszczącéj hiszpańskiéj zbroi misternie wyzłacanéj, chodził wszędzie, oglądał stanowiska, zwiedzał blanki na prędce porobione, opatrywał działa. Z wysokiéj baszty przypiętéj w jednym rogu domostwa, widziéć mógł zebrane hufce Radziwiłłowskie zaléwające część miasta. Popatrzał na nie i w milczeniu zszedł nazad. A P. Barbier towarzyszący mu z Tomaszem Dąbrową, uśmiéchał się.

— Pewnie teraz wielki gwar w Kardynalij, rzekł, bo nie wiedzą zkąd począć. Twardy orzech do zgryzienia!

Starosta Żmudzki nic nie odpowiedział na to—zamyślony mało zważał na Francuza, idą-

cego krok w krok za nim i spoglądającego mu w oczy.

Zszedłszy w dziedziniec obejrzał jeszcze jednym rzutem oka gotujących się do boju ludzi swoich, których pełno było wszędzie, we zbrojach, przy mieczach, lub wlokących rynsztunki i przybory wojenne.

Udał się potém do brata i Kasztellana, jak on w zbrojach i przy szablach siedzących w komnacie i oczekujących odgłosu bitwy, hasła na dobycie oręża. Tylko Wojewoda Sandomirski, spokojny pośrednik, nie miał zbroi i nie zdawał się gotować do blizkiego boju. Zamyślony zmarszczony siedział on na ustroniu sam jeden nad wielką xięgą podparty.

A Xiężna? O! okropny to był dzień dla niéj. Od rana w żałobnéj sukni ubrana, Zofja klęczała i modliła się przed obrazem Matki Bozkiéj, u którego paliła się lampa. Oczy jéj zaczérwienione od łez, ręce załamane, xięga modlitw leżała na ziemi. Czuła potrzebę modlitwy, a sił na nią nie miała, zaczynała sto razy i sto razy na odgłos szczęku broni, na

hałas jaki, powstawała, biegła ku oknu, wpatrywała się, przysłuchiwała, wracała, klękała znowu i znowu zaczynała modlitwę i jeszcze lada chrzęst upadłéj zbroi ją przerywał.

Taki był dla niéj, dla siéroty dzień, rocznica tego, w którym przyszła na świat.

Na chwilę przerwały jéj modlitwę i okropne oczekiwanie, odwiedziny Kasztellana i dwóch jego bratanków. Oni ukazali tylko, zimno ją powitali i za chwilę odeszli, Xiężna została znów sama przed obrazem Matki Bożéj, z załamanemi rękami i oczyma łzawemi. A dla niéj każda godzina płynęła długa jak półwieczności, każda chwila ciągnęła się nieskończenie, bo nad nią było oczekiwanie, niepewność, bojaźń. I nikt nie przyszedł ją pocieszyć, nikt upewnić, nikt nawet podzielać jéj przestrachu. Obok modliły się jéj służebne, a niekiedy P. Włodska zaglądała przez drzwi ostróżnie.

Tym czasem na naradach w pałacu Radziwiłłowskim, upłynęło godzin kilka, minęło południe, dnia już zimowego niewiele zostawało, a jeszcze nie szurmowano, wojska się

nie poruszały z miejsca, nie postępowały. Kilka razy z wierzchołka baszty wyglądał Jan Karol, a zawsze widział ich na tém samém miejscu.

— Co to znaczy? pytano u Chodkiewiczów.

— Co to znaczy? szeptano po mieście.

— Będzie zgoda — zaczynali się domyślać ci, którzy zawsze śpieszą naprzód z wnioskami, prześcigając wypadki.

Cóż było w istocie? Nie umiano się zgodzić o sposób dobywania kamienicy, w istocie saméj, swém położeniem w ciasném miejscu niedostępnéj. Próżno się Wojewoda zżymał, obruszał i naglił.— Upływały godziny w sporach nadaremnych. Biskup użył dogodnéj chwili do przedstawienia, iż nie godziło się rozpoczynać wojny, nie spytawszy przynajmniéj dla formy PP. Chodkiewiczów, czyli umowie zrobionéj dawniéj, zapisom zadość uczynić nie zechcą. Chodziło mu o zyskanie czasu, widział bowiem, że dla samych trudności rozpoczęcia walki, gdyby się tylko przewlekło, rozejśćby się mogło i na niczém spełznąć.

Przyjął myśl Wojewoda i przyjaciół od siebie uprosił, którzy do Panów Chodkiewiczów udać się mieli z zapytaniem, czyli w terminie, wedle opisu, wydadzą Xiężnę za Xięcia Janusza? Uproszeni do tego poselstwa byli: Pan Krzysztof Zenowicz, Lew Sapieha, Staszewski Pisarz Lwowski i Krasicki.

Wyszli oni z Kardynalij i udali się prosto do furtki od Ulicy Zamkowéj, do któréj P. Staszewski zapukał. Ale milczeniem tylko odpowiedziano mu zewnątrz, gdyż straż posłała do Starosty Żmudzkiego z wieścią o przybyłych z Kardynalij i proszących wejścia. Stukali jeszcze i czekali dość długo, nim Starosta zszedł, a furtę odryglowano, kraty i łańcuchy odjęto.— Gdy się to dzieje, przyszli także do bramy Kasztellan Wileński, P. Alexander Chodkiewicz i Wojewoda Sandomirski. Jan Karol dawszy rozkaz otworzenia, i zostawiwszy stryja, sam w głąb się cofnął. Weszli Posłowie powitani oziębłe u furtki, których Kasztellan Wileński wprowadził na prawo do sklepika w ziemi, w głąb na kilka wschodów będącego o jedném tylko okienku,

snać, aby wiodąc ich przez dziedzińce, nie pokazał im wnętrza i przygotowań jakie były poczynione.

— Daléj nie możemy Was prowadzić, rzekł Kasztellan, wybaczcie, iż Was tak źle przyjmujemy, ale to nie nasza wina.

P. Zenowicz i Sapieha przyjęli wymówkę w milczeniu. Ozwał się potém Kanclerz.

— Jesteśmy tu przysłani od Xięcia Wojewody, rzekł, któren raz jeszcze chce wiedzieć od Was Panie Kasztellanie, uważacieli dany oblig i uczynioną umowę za nienaruszoną lub nie? Chcecieli wydać Xiężnę, dziś, tutaj, za Xięcia Janusza!

— O to cała treść naszego poselstwa, ozwał się Zenowicz — i odpowiedzi Waszéj czekamy.

— Odpowiedź zawsze jedna, żywo odparł Kasztellan. Niedawno, Wam samym Mości Kanclerzu, rzekliśmy to i dziś powtórzym, okaże się kto i jak przyrzeczeń dopełnia — My swoich nie odbiegamy, czekamy Xięcia Janusza z przyjaciółmi. Postawim Xiężnę zdrową na ciele i umyśle, nie przymuszając jéj do żadnego poniewolnego ślubu, niech wyrze-

cze jakie ma serce dla Xięcia. Tak jest, stoim przy umowach i zapisach. A co do mnie, dodał, ręczę WW. Mościom, iż ani wiém, ani się domyślam nawet, jaką odpowiedź dać Xiężna może, bom się jéj o to nie pytał.

Posłowie z podziwieniem spójrzeli po sobie, gdyż całe innéj spodziéwali się odpowiedzi. Nie wiedzieli już co mówić daléj i czego jeszcze wymagać więcéj, Kasztellan pozornie na wszystko zezwolił.

— Jakkolwiek, rzekł, opiekun, miałbym władzę nad Xiężną, nie chcę jéj zmuszać, nie chcę jéj radzić nic, abym sumienia nie obciążył, niech sama przyszłość sobie zgotuje. Chcecieli WWMość Panie Wojewodo i Kanclerzu, idźcie sami i spytajcie jéj względem woli dla Xięcia i ślubu.

— Nie jesteśmy do Xiężnéj wysłani, rzekł Kanclerz, lecz do Was tylko, przeto dość nam téj odpowiedzi, z którą do Xięcia Wojewody pośpieszym.

Po kilku słowach jeszcze, pożegnali i wyszli, rzuciwszy ciekawém okiem w kamienicę, pełną w téj chwili żołniérza.

— Co myślicie o tém wszystkiém? spytał Zenowicz Kanclerza wyszedłszy w ulicę. Co znaczy dana odpowiedź?

— Że Xiężna Pani, odpowiedział pocichu Kanclerz, jest już przeciw swojemu narzeczonemu zapewne. Zresztą nie pojmuję. Byłażby tak łatwą zgoda?

I tak rozmawiając weszli do Kardynalij, gdzie ich niecierpliwie oczekiwano.

IV.

Pokój czy Wojna?

IV.

Pokój czy Wojna?

Weszli, Wojewoda okiem ich zmierzył, czekał wieści z czém wracają, nie śmiał spytać co zrobili. Xiąże Janusz nie zwrócił się nawet ku nim, on był pewien, że albo ich

nie dopuszczono wewnątrz, albo zbyto jaką taką wymówką.

Inni przytomni otoczyli ich, w twarzach pokazując ciekawość i pytając cicho.

— Co niesiecie?

— Z czém wracacie?

Kanclerz posunął się ku Wojewodzie, chciał mówić; ale Zenowicz mu przerwał.

— Otoż nadspodziéwanie, rzekł prędko, Panowie Chodkiewicze—

— Nie dopuścili Was? spytał trzęsąc się Wojewoda.

— Owszem— byliśmy w kamienicy, mówił daléj Zenowicz, choć nieprędko do niéj się dostukali. Wyszedł przeciw nam Kasztellan z Wojewodą Sandomirskim i Starostą Borysowskim. Na zapytanie czyli swéj umowie zadość uczynią, odpowiedzieli—

— Cóż odpowiedzieli? podchwycił niecierpliwie Wojewoda.

— Iż— czekają Xięcia Janusza z przyjaciółmi, i będą stawić Xiężnę zdrową na ciele i umyśle, dozwalając jéj wyrzéc to, czém ją P. Bóg natchnie, w niczém ją nie siłując i

zmuszając do niczego.— Owszem nas samych chcieli prowadzić do Xiężnéj, aby przed nami oświadczyła się z wolą swoją, a Kasztelan upewnił, że ani pytał, ani wié nawet jaką da odpowiedź.

—Czegoż więcéj żądać? rzekł Biskup Gedrojć—Niech Xiąże Janusz uda się do nich.

Wojewoda gniewny milczał.

—Ja! udać się do nich, zakrzyknął Janusz. Azaż to nie widoczna, iż pod pozorem zadość uczynienia warunkom—jest to szyderska odprawa! oni wiedzą, że Xiężnę zmusili, aby przeciw mnie wyrzekła. Tegoby im trzeba tylko, abym poszedł teraz pytać jéj—Powiedziałaby pod strachem, że niéma serca do mnie, i tak sprawa cała, byłaby rozwiązana na ich stronę, prawnie na pozór i sprawiedliwieby wygrali w oczach ludzkich! Ależ, ja iść tam nie mogę, wszak widoczne Kasztellana przeciwko mnie zmowy z bratankami, wszystko tam już musi być wcześnie ułożone na zawstydzenie nasze. Pójść tam i powrócić ztamtąd z odmową, ze wstydem! O! tego nie będzie.

— Więc, mówił daléj — już i Xiężna za niémi! już i ją potrafili odmienić i przerobić!

— Kasztellan, rzekł powolnie Sapieha, ręczył, iż z Xiężną o tém nie mówił, o to ją nie pytał i nie wié co myśli.

— Kasztellan sam może w to nie wchodził — odpowiedział Wojewoda, ale byli pewnie od niego wysłańcy, którzy słabym umysłem kobiécym owładli! Gdyby oni nie byli pewni swego, nie staliby teraz przy umowie, któréj niedawno zaprzeczali wszelkiéj wagi.

— I ją więc potrafili przeciw nam obrócić, i z niéj zrobili oręż na nas! wołał Janusz. Ale nie, nie, oni sami wprzód powiedzieli, umowa za nic! — Xiężna pod ich władzą, powié co każą — gdy będzie wolną, wówczas niech się dopiéro wyrzecze — Wprzód nim ją pytać będziemy, potrzeba oswobodzić.

I Wojewoda tak myślał, bo za synem powtórzył -

— To tylko łapka na nas, aby zbyć niczém i wszystko wywrócić, jednèm słowem Xiężnéj: — Nie chcę. Ale nie — nie pójdziem jéj pytać teraz, bo Kasztellan pod zakładem

przyrzekłszy, żadnych na nas zmów nie czynić, przecież już opisał się ze swemi bratankami; widoczna niechęć, widoczny podstęp. Mości Panie, odezwał się do Janusza, niech wojsko otoczy kamienicę — dziéj się wola Boża.

Na te słowa wyrzeczone wyraźnie i głośno przez Wojewodę, ruszył się Xiąże Janusz ku drzwiom, ale go wstrzymał Zawisza. Biskup zaś Gedrojć postąpił ku Radziwiłłowi.

— Xiąże, zawołał, pomyśl co wyrzekłeś, dałeś hasło do boju, — lekkoż ci na sumieniu? Maszże przynajmniéj przed sobą czém się wytłumaczyć? Pomiarkuj się, odwołaj. PP. Chodkiewicze nie odbiegają umów, Kasztellan zaręcza, że nie wié o woli i skłonności Xiężnéj, wzywa Was, aby ona rozstrzygła między Wami. A Wy odpowiadacie rozkazując ruszyć wojsku. Na Boga, Wojewodo, chciéjcie się upamiętać! O co Wam chodzi, o żonę dla syna? Godziż się cały kraj pogrążać w nieszczęścia wojny domowéj, byle swojego dopiąć! Xiąże, Wyście sami nie obcy — Wyście tego kraju, któremu zagrażacie,

synem; między dobrem jednego człowieka a dobrem kraju, wybierając, można się li, choć chwilę zastanowić? Wszystko się da ułożyć— Zrobiémy zgodę, porozumiécie się, lecz nie spieszcie wyjmować z pochew oręża, abyście nie żałowali tego potém!

.Przystąpili za Biskupem inni.

— Daj się przekonać i ubłagać, zawołał Kanclerz Sapieha — Przyszłość odda Wam sprawiedliwość, kraj cały wdzięczen Wam będzie, jeśli miarkując się, zapominając urazy dla miłości Boga, nie zechcecie szukać zemsty, która i na niewinnych głowy spaść może.

— W Imie całéj Litwy, zaklinamy Was Xiąże, z kolei odezwał się Dorohostajski— Chcecież aby powiedziano, iż byliście przyczyną niepokojów i niewyliczonych szkód dla kraju, przez jedną tylko miłość dobra własnego, a raczéj zapamiętałość w gniewie! Xiąże! o Was wszyscy inaczéj trzymają! Ułożym wszystko, skończym; sfolgujcie! dajcie się uprosić!

Gdy wszyscy obstąpiwszy Wojewodę, starają się go odwieść od rozpoczynania wojny,

X. Janusz stoi u drzwi widocznie miotany niespokojnością i gniewem, rozjątrzony zwłóką, pragnąc wojny, któréj skutków nie rachuje, byleby dogodziła żądzy pomszczenia się gorącéj. Nie śmié jednak wynijść i dać rozkazu, wpatruje się w twarz ojca, po któréj przechodzą widocznie wyrazy różnych uczuć. Raz oczy mu się iskrzą, drżą wargi, to znów lice blednie, gaśnie i spuszcza się spójrzenie ku ziemi, usta odmykają się wpół, jakby chciał co powiedziéć. I znowu milknie, i znowu drży od gniewu i niespokojności. —

Wszyscy przytomni łączą się do Gedrojcia i Zawiszów, Kanclerz Sapieha, Xiążęta Ostrogskie, Abramowicz, bratanek Wojewody, jego szwagier Naruszewicz, Zenowicz Wda Brzeski, obstąpili go, naglą, proszą, zaklinają, aby szkodliwego przykładu wojny domowéj nie dawał, aby się powściągnął, pomiarkował i odłożył przynajmniéj krok niepowetowany, stanowczy.

— Zawsze pora do wojny, woła Lew Sapieha, ale raz wyjąwszy szablę z pochew niełacno ją będzie schować nazad. Jeśli kropla

krwi bratniéj przylgnie do żelaza, będzie ona wywoływać zemstę, i zemsta za zemstą walce końca nie będzie, niepokojom — wojnie.

— Nie, nie, zakrzyknął wreście Wojewoda, długo zatrzymanego dobywając głosu — Ta krew spadnie na nich, jam jéj nie winien, ja jéj nie pragnąłem, ja do ostatka prosiłem z poniżeniem własném o zgodę, o pokój. —

— Pokażcież się jakiémi byliście i teraz, słabym głosem rzekł Biskup Gedrojć — Nie zdawajcie sprawy na slepy los wojny — w chwili zgonu, staną u Waszego łoża cienie pobitych braci i skonać Wam spokojnie nie dadzą. I za co? i dla czego wojna? Dla imion, dla kobiéty! O wstydzie, o hańbo! jestże się dla czego krwawić i zadzierać? Jestli czego rozpoczynać wojnę z braćmi — Cały świat zwróci na nas oczy ze zgrozą i palcem nas wytykać będzie. Jesteśmy otoczeni nieprzyjaciółmi, gdybyśmy sto razy tyle mieli i oręża i ludzi, nie wystarczy ich na odparcie cisnących się i sprzysiężonych na nas sąsiadów; gdybyśmy mieli sto razy tyle krwi i żywota do wyszafowania, mięlibyśmy co z niémi u-

czynić, stawiąc je murem przeciw sąsiadom. Godziż się wyzywać nieprzyjaciół, czyniąc zamięszania w kraju, z których nie omieszkają korzystać! Xiąże! dajcie się przekonać, uprosić. W imieniu dobra kraju, w imieniu Króla Jego Mości, nas wszystkich obywateli W. Xięztwa w imieniu Waszych przodków, z których żaden krwią się bratnią nie skrwawił, zaklinamy Cię, Wojewodo — zdaj tę sprawę na wielkiego rozjemcę.

— Na jakiego! gwałtownie przerwał Xiąże. Na Króla?

— Na Boga! największego rozjemcę kończył Biskup.

— I na czas — dodał Sapieha.

Pomimo burzy wewnętrznéj, jaka widocznie wrzała w duszy Radziwiłła, znać było, iż wkradł się był zbawienny strach i obawa o skutki tak stanowczego kroku. Wojewoda nie ponawiał danego synowi rozkazu, stał ponury, w milczeniu. Potém padł na krzesło, spuścił głowę i milczał. Zwrócili się niektórzy do Xięcia Janusza, mitygować go, wystawując mu, jak dziwną i niesłychaną by-

ło rzeczą chcieć się żony dobijać orężem, gdy i tak mieć ją może bez krwi przelewu. Wojewoda milczał i myślał, Janusz odstąpił od drzwi. Jemu jednak więcej jeszcze twarz pałała i żywiej serce biło. (Nie dziw, młodym był jeszcze, a uczucie królowało nad rozumem)!

Po chwili, znowu wszyscy ruszyli się do Wojewody, któren wysilony, słowa nie mówiąc, siedział ciągle na miejscu.

— Zróbcie ofiarę z siebie, rzekł Gedrojć, a Bóg Wasz, Król i kraj przyjmą i policzą Wam, na tym i na drugim świecie! Jedno Wasze słowo, może być zgubą dla kraju, może wywołać na Waszą głowę przekleństwa i skargi całych rodzin; pomiarkujcie się z sumieniem Waszém, nim je wyrzeczecie.

Wojewoda powstał i wziął za ręce Gedrojcia, poruszony był widocznie i łza niemęzka, może raz pierwszy od lat kilkudziesiąt, zabłąkała się pod powieką.

— Nie wyrzeknę tego słowa, rzekł, wolę niech moje przepadnie, niech ja ustąpię, bylebym nic na sumieniu nie miał. Przekona-

liście mnie, dzięki Wam!—Nie chcę wojny, na dziś przynajmniéj. Uczynię z siebie ofiarę z gniewu i popędliwości, z obrazy, z krzywd poniesionych.

—Rozpuścić ludzi po gospodach, rzekł do syna.

Xiąże Janusz stał jeszcze, nie wiedząc czyli i to stanowczy rozkaz lub nie, ale wszyscy rzucili się do drzwi i w chwili dwudziestu posłańców oznajmywało w ulicach stojącym rotom rozkaz powrotu do gospód.

Senatorowie dziękowali Xięciu, on milczący znowu, strapiony, z widocznémi ślady na twarzy, jak drogo kosztowała go uczyniona ofiara, usiadł i zadumał się.

Słońce zachodziło i ostatnie jego promienie błyszczały na oknach wież, krzyżach i strzałach kościołów, gdy hufce Radziwiłłowskie, ruszyły się z miejsca i na odwrót ciągnąć poczęły.

Z Baszty Chodkiewiczowskiéj kamienicy spoglądał na to Jan Karol, patrzał i nie wiedział co to znaczyć mogło. Zdało mu się z początku, iż ciągną już oblegać; gdy nawet w prze-

ciwległe skryli się ulice, myślał jeszcze iż obchodzą, aby go ztyłu i niespodzianie podeszli. Wydane rozkazy, żołnierze stanęli na murach w swych miejscach—czekano—wojsko Radziwiłłowskie znikło i nie ukazało się więcéj.— Słońce zaszło, padać zaczynał zmrok, nie przestano jednak mieć się na ostróżności dzień cały. Jan Karol zszedł z baszty i udał się do Kasztellana.

—Jakaś dziwna odmiana, rzekł wchodząc; wojska Radziwiłłowskie ustępują i odchodzą.

—Coby to miało znaczyć? spytał Mniszech.

—Iż nas pożyć się nie spodziéwali? odpowiedział Jan Karol. Naradzali się cały dzień, jak przystąpić i co z tylém wojskiem zrobić, teraz ustępują nie śmiéjąc zaczepić.

—Może być, rzekł Kasztellan, iż to tylko udany odstęp, a w nocy w piérwospy łacniéj nas cichaczem obejść myślą.

—Żołniérz czuwać będzie na murach! odpowiedział Jan Karol—Bądźcie spokojni, ja swoich na gospody nie rozpuszczę.

— Tym czasem posłaćby na zwiady — dodal Alexander Chodkiewicz.

— Poszedł już jeden — rzekł Jan Karol i tylkoco go nie widać nazad. Jak tylko ruszyły się wojska, wysłałem go zaraz dostać języka od Katolików, którzy są w wojsku Radziwiłłowskiém, i szli przeciw nam tylko z musu, a w sercu nam przyjazni.

V.

Czekali do północy.

V.

Czekali do pòłnocy.

Było blizko północy. W Kardynalij na wielkiéj sali, mnóstwo osób zgromadzonych stało. Wpośrodku nich ogromny stół zasłany bogatym kobiercem, na kilku sto-

pniach obitych suknem, ustawiony. Na nim świéce woskowe, krucyfix wpośrodku i xięga. Z obu stron stołu dwaj xięża — pastor ewangelicki i Mnich Ruski w milczeniu, czekać się na coś zdawali. Na niższym stopniu dwu Woźnych trybunalskich, wysokich a chudych, z wyciągnionemi szyjami i konopiatym wąsem, stali poglądając to po zgromadzeniu, to po sobie.

Ogromny zégar Gdański w szklannym postumencie wskazywał w téj chwili, że za dziesięć minut, północ wybić miała.

Dokoła stołu liczne zgromadzenie szepcząc, otaczało go. Na przedzie w bogatych strojach, Xiąże Wojewoda i syn jego Janusz, którego biały atłasowy żupan i karmazynowy kuntusz, zdaleka odznaczały. Oni stali w ponurém milczeniu. Wojewoda spoglądał na zégar.

Jeszcze pięć minut do północy—i milczenie głębokie. Przytomni gwarzą pomiędzy sobą.

Nareście wybija północ powolnie i gdy dwunaste uderzenie zégaru rozległo się po sali, Wojewoda wszedł na stopnie —

— Świadczę się wszystkiemi tu przytomné-

mi, rzekł, jakom w niczém nie uchybił terminu wyznaczonego, umową zawartą z Panami Chodkiewiczami—Wzywałem ich, oczekiwałem dzień cały w gotowości do zawarcia związku między tu przytomnym synem moim Januszem, a Xiężną Zofją Słucką. Termin ten upłynął, umowa dopełnioną nie została, ale nie z naszéj winy.

Natychmiast toż samo prawie, lecz w terminach najeżonych prawniczą łaciną powtórzyli dwaj Woźni, dobitnie i głośno. Xięża zeszli ze stopni, krucyfix wyniesiono, zabrano świéce, drzwi na roścież się otwarły i Wojewoda wprowadził licznych swych gości do drugiéj sali w któréj spóźniona, lecz wytworna wieczerza zastawiona była.

Nie będziemy opisywać bankietu, któren dzień ten straszny zakończył. Rozgrzani winem goście nieraz na nim wspomnieli mniéj przychylnie imie PP. Chodkiewiczów, lały się z puharów odgróżki i wyrzuty, nie próżnowały usta. Jeden Wojewoda milczał tylko i napróżno wyzywać go się zdawały przyjaciół i pochlebców jątrzące wyrazy, nic nie rzekł.

Późno w noc rozjechali się wszyscy do domów.

A w kamienicy Chodkiewiczowskiéj też same przygotowania, taż sama była gotowość do odporu jak we dnie. Żołniérze budzili się wołaniem, ognie paliły, straż chodziła, Pan Mikołaj Chamiec we zbroi, z szyszakiem w ręku, mieczem u pasa, obchodził posterunki, budził usypiających, nadstawiał ucha na każdy szmer w ulicy. Kasztellan z Janem Karolem i Alexandrem siedzieli w swojéj komnacie—Xiężna Zofja, klęczała dotąd przed obrazem Matki Bozkiéj.

Tak w niespokojném oczekiwaniu upłynęła noc cała; nadszedł dzień. Rozwarto furtki pałacowe i wysłani na wzwiady przynieśli od Zawiszów, dokładną relacją, wypadków dnia przeszłego.

Dziwili się niepomału Chodkiewiczowie powolności jaką Wojewoda na perswazje przyjaciół okazał i nie pojmowali jéj, nie tłumaczyli sobie inaczéj, tylko niepodobieństwem dobycia kamienicy, gdyż wiedzieli o naradach rotmistrzów, którzy skutecznego sposobu

zwycięzenia, wymyśleć nie mogli; ba nawet zgodzić się o to, jak napadać, na kamienicę.

Ku południowi nadszedł Biskup Gedrojć z PP. Zawiszami, tentując o zupełną zgodę. Ale napróżno podawano warunki różne, gdyż Jan Karol zdawało się, ośmielony wczorajszém wahaniem się Wojewody, na nic przystać Kasztellanowi nie dozwolił, Kasztellan za się jak wczoraj, na Xiężnę wszystko zdawał. W ciągu tego dnia, nie ustawały propozycje ze stron obu, ale bezskuteczne. Nie tąk to łatwo było, zajątrzonych zbliżyć i do zezwolenia na jedno sprowadzić, widoczném jednak okazywało się, że mimo trwającéj nienawiści, znużone strony obie, pragnęły pokoju i zgody, bodaj powierzchownéj tylko.

VI.

Ciąg dalszy.



VI.

Ciąg dalszy.

Nazajutrz rano wszedł Kasztellan do mieszkania Xiężnéj i zastał ją na modlitwie. Spokojniéjsza już dziękowała Bogu, że wyprosiła to, czego pragnęła—pokój—Sié-

rota zapomniała o sobie, myślała tylko o skutkach wojny, której się przyczyną uważała.

Powstała na widok stryja i pozdrowiła go w milczeniu. Spójrzał na nią Kasztellan i przez bladość i znużenie dojrzał radości w sercu.

— Radziwiłłowie, nie śmieli się wczoraj do Was odezwać, rzekł—wzywałem ich.

— Wzywaliście? spytała Zofja.

— Tak, wzywałem ich przed Was, abyście sami wyrzekli, macie li skłonność dla Xięcia Janusza lub nie. Byłem pewny, że nas nie upokorzycie. Nie chcieli jednak stawić się i nie śmieli zdać się na Was.

Xiężna westchnęła i zamilkła.

— Zwątpił i on o mnie, rzekła w duchu i słusznie.

— Cóż teraz poczniecie i co ja począć mam? spytała.

— Spokojnie, zdawszy się na wolą Bożą i opiekunów czekać końca — Wszystko rokuje pomyślny. Radziwiłłowie przekonawszy się o niepodobieństwie o szkaradzie takiej wojny, rozpuszczą żołnierza, zdadzą się na przyjaciół, nachylą do zgody. W. X. Mość, dodał,

z ufnością i uspokojeniem czekajcie, zdawszy na nas pieczę o wszystkiém. Możecie wierzyć, że Waszego tylko dobra chcemy i o nie starać się będziem.

— Ufam w Bogu i w Was! odpowiedziała Xiężna. Nauczyłam się cierpliwości i zdania na wolą Opatrzności. Co się stanie, wszystko przyjmę z ręki opiekunów —

— Dzięki Wam za powolność, która dla Was samych najpożyteczniéjszą jest, rzekł Kasztellan. — Uspokójcie się, bądźcie cierpliwi, mamy nadzieję pożądanego wszystkim końca. Przyjaciele odwiedli ich od szkodliwego najścia, przyjaciele mogą uczynić zupełny koniec. Nie taim Wam, że trudny, bo mamy sprawiedliwe urazy, bośmy skrzywdzeni i swojego dopominać się nie przestaniem. Kiedy jednak od widocznéj zguby i szwanku kraj ten Bóg uchował wczoraj; spodziéwamy się iż reszta w swoim czasie ułatwić się da.

To powiedziawszy Kasztellan ze zwykłą sobie powagą pożegnał Xiężnę, która znowu sama została. Wyjrzała w dziedzińce — w nich jeszcze też same co wczoraj przygotowania wo-

jenne widać było. Jakkolwiek przejście terminu bez zaczepki upewniało cokolwiek, nie chcieli jednak Chodkiewicze rozpuścić wojsk i zostać na łasce nieprzyjaciela, któren opamiętawszy się, mógł z tego skorzystać. Nie ufali oni Radziwiłłom i z rozbrojeniem czekali, aby im przykład dano.

Wkrótce jednak rozjeżdżający się na Sejm, na Marzec zwołany z powodu spraw Wołoskich, Panowie Senatorowie, poczty swe zabiérać zaczęli, inne rozpuścili sami Radziwiłłowie, zaniechawszy myśli o wojnie, a zwróciwszy się do prawa ktorym pożyć łatwiéj i bezpieczniéj było. Jakoż wszystkie Sądy zostawały w ich ręku, na Trybunale czynili co chcieli i Manifest który podali do Akt, siódmego Lutego, był oznajmieniem niejako dla PP. Chodkiewiczów, z któréj teraz strony pilnować się mieli. Wniesiono powtórnie mowę o bannicji na Kasztellana Wileńskiego, rozpoczęto processa nanowo.

Próżne były na téj drodze starania ze strony pozwanych, oni nie mogli nigdzie, nawet w tych Województw i Ziemstw Sądach, w któ-

rych największy wpływ mieli, przeważyć wpływu Radziwiłłów. Obiérano na Urzędników, Kandydatów zaprzedanych duszą i ciałem partji Wojewodzińskiéj, a ci sądzili jak kazano. Potrzeba było nie dopuścić sprawy, nie dopuszczono aby rejestr doszedł do niéj, trzeba było inną odsądzić, rychło wywołano ją nazajutrz. Dekreta pisały się w Kancellarji Wojewody i posyłały Sądom. W tego rodzaju wojnie, Chodkiewicze oprzéć się nie mogli, odzywali się wołając na przedajność, na krzyczącą niesprawiedliwość; nikt ich nie słuchał. Wszyscy w kraju oswojeni już byli na nieszczęście z bezprawiem, które nikogo nie oburzało. Nakłaniano głowę przed silniejszym i milczano.

Przez cały miesiąc Luty prawie, nieustannie tentowano, lecz napróżno o zgodę; ku końcowi Sejm Marcowy powołał wszystkich do Warszawy i sprawa zawieszona została. Ustąpiła ona na chwilę, przed ważniejszémi względy; — wtargnienie Szwedów do Inflant i spodziéwana wojna z Wołochy; zwróciły uwagę wszystkich. Zebrał się Sejm, jeden z tych,

które malując czas i ludzi, zapisane są na kartach historji, na wstyd i naukę przyszłości. Groziły wojny, a nikt nie myślał o zagrożonym kraju. Zgubna nieufność dzieliła Króla od poddanych. Zygmunt III. więcéj miał stokroć nieprzyjaciół, niż stronników. Opinja powszechna była przeciw niemu. Lękano się nawet uchwalić poboru na wojnę, aby Król go nie użył na poparcie swéj sprawy w Szwecji. Smutne położenie kraju! Król gdzieindziéj sercem i myślami; gdzieindziéj poddani, słowom jego nikt nie wierzy, prośby nikt nie słucha, każdy krok tłumaczą fałszywie, obelżywie dla niego. — Tuż prawie na Sejm, przyszła wieść o śmierci Kardynała Radziwiłła, zaszłéj we Włoszech, Biskupstwo Krakowskie zawakowało jak Kujawskie. O oba wszczęły się intrygi ohydne, i gdy nie było komu myśléć za coby zebrano wojsko, znalazło się aż nadto forytujących swoich Kandydatów na Biskupie stolice! — I na Sejmie też dawały się czuć niepokoje Litewskie, gdy stronnictwa Radziwiłłów i Chodkiewiczów wyraźnie przeciw sobie stały tam nawet, gdzie

o dobro kraju chodziło. Jątrzyła jeszcze Radziwiłłów widoczna ku nim niechęć Królewska, i równie jawna skłonność jego dla Panów Chodkiewiczów.

Po Sejmie gdy Jan Zamojski zaczął zbiérać żołniérza przeciw Wołochom, stawili się tu i Chodkiewicze oba, Jan Karol i Alexander, rzucając inne sprawy swoje dla sprawy kraju. Sprawiedliwość wyznać każe, iż Radziwiłłowie nie dali żadnych pocztów na tę wojnę, używając sił swych tym czasem, na zapewnienie w kraju pewnéj choć względnéj przewagi nowowiercom. Odjazd też na wojnę Jana Karola z bratem dozwalał im nadziei łatwiéjszego przejednania się z Kasztellanem, którego mieli pod ręką.

VII.

W Brześciu Litewskim.

VII.

W Brześciu Litewskim.

Wyprawa Wołoska trwała prawie do końca tego roku, tym czasem w Czerwcu zasiadł Trybunał w Wilnie. Tu znowu powołani PP. Chodkiewicze, lecz gdy z jednéj strony

straszeni są niechybną przegraną, z drugiéj podawane im warunki zgody. Użyci przyjaciele, rozjemcy. Ostygł długą walką znużony Kasztellan, bratankowie próżno jątrzyli go listami, zalecając, aby bez nich nic nie czynił—; on widocznie nachylał się do zgody i sercem był za nią.

Ugoda codzień stawała się bliższą, i podobniéjszą. Nareście na zjeździe Trybunału, obskoczony od pośredników i przyjaciół uproszonych, Kasztellan lękając się bannicji, którą zawsze jeszcze za pasem na postrach trzymano, dał ręce do zgody.

Zgodził się wydać Xiężnę za Xięcia Janusza (warując w tém jéj własną zgodę) upewnił dla swego sumienia, otrzymanie dyspensy z Rzymu? pokassowano rozpoczęte sprawy i umorzono pretensje, w części przynajmniéj wynagrodzono koszta zaciągu żołniérza. Ślub piérwszego Października tegoż roku miał się odbyć w Brześciu. Ugodę tę podpisały strony dnia 8 Czerwca. Lecz nie przeto wróciła dawna przyjaźń domów, które zostały jak były w sercach z urazą i niechęcią wzajemną.

A Xiężna? — ona się radowała zgodzie, ona cieszyła się wyglądając zupełnego końca, w serce jéj jednak wrzucona myśl niebłogosławieństwa Bożego, rodziła smutne przeczucia.

Napróżno starał się je rozpędzić Xiąże Janusz, któremu teraz dozwolony był przystęp do niéj, któren starał się jéj okazać przywiązanie, zaciągnione z lat młodych. Czasem wypogadzało się czoło Xiężnéj, uderzało swobodniéj serce, otwiérała się dusza nadziei — za chwilę znowu ogarniało ją przeczucie groźne nieszczęść, niebłogosławieństw i śmierci. Zaledwie drzwi się za narzeczonym zamknęły, Zofja płakała jak wprzód, choć łez jéj nikt wytłumaczyć nie umiał, widząc skłonność ku niemu nietajną.

Wkoło niéj przygotowania weselne czyniono, cały jéj dwór radował się, winszował przyjaciele, pochlebcy prorokowali długie lata szczęścia — ona płakała.

W piękny poranek jesienny, na żółtych piaskach roztoczonych pod Brześciem Litewskim, których kłębami wiatr chłodny kręcił; ukazał się długi szereg powozów i koni.

Był to dwór Xiężnéj i Kasztellana ciągnący na wesele, które się tutaj odbyć miało. W kolébce kirami złoconemi wybitéj, siedziała Zofja, sparta na ręku i smutna. Wyjrzała przed siebie i zza wydm piasczystych błysnęły wieże kościołów Augustjańskiego i Jezuickiego, białe mury Zamku na wyspie, klasztorów i domostw. Xiężna modlić się zaczęła, i mimowolnie chwycił jéj serce niepokój i targać niém zaczął.

— Tu więc los mój się rozwiąże, jak chciał Bóg, jak sama pragnęłam! A przyszłość? — a przyszłość?

I nie śmiała w nią zaglądać, chociaż pewną była serca przyszłego męża i ufała w Bogu. Zawsze jednak to niebłogosławieństwo, którem zagrożoną raz była, nie wychodziło jéj z myśli.

Wtém naprzeciw od Brześcia konny się poczet ukazał w kłębach kurzawy pędzący ku nim.

To Xiąże Janusz, który przybywającą jechał z ojcem powitać. Na twarzach Radziwiłłów wesele, w twarzy Kasztellana smutna spokojność, u Xiężnéj uśmiech kłamany.

— Witajcie w dobrą godzinę! zawołał Wojewoda, mijając kolébkę Xiężnéj, u któréj zostawił syna, a sam pospieszając do Kasztellana, zdjęli czapki i powitali się wzajemnie. — Dobra pora drodze służyła! rzekł Wojewoda, pogodna jesień, dni ciepłe! Mieliśmy już wiadomość o Waszém zbliżaniu się i pośpieszyliśmy przeciw Wam. P. Starosta Szereszowski uwiadomił nas o tém.

Kasztellan milczał. —

— W. X. Mość oddawna już w Brześciu? spytał po chwilce.

— Od kilku tygodni — ja i kilku przyjaciół siedzim tutaj. Przejeżdżaliśmy się do Kodnia Sapieżyńskiego i Romanowa rezydencji ich letniéj. Mamy też łaskawych, co tu przybyli sproszeni na wesele i pomogli czas przepędzić. Pan Zenowicz Wojewoda Brzeski, odstąpił nam nawet swego dworu —

Kasztellan znowu o coś spytał i tak dość

ozięble o obojętnych rzeczach rozprawiając, dojeżdżali do miasta, które coraz wyraźniéj się na zieloném tle łęgów nad Bużnych i siwém niebie jesienném malowało.

Xiąże Janusz jechał przy kolébce narzeczonéj swojéj, wesoły, dumny swém szczęściem, széroko wzrokiem po świecie wodząc, jakby się pytał na cztéry świata strony — Jestli kto odemnie szczęśliwszy?

— Jeszcze kilka dni, mówił do Zofji i W. X. Mość, polecisz los swój w moje ręce; o jak się będę starał, abym Waszéj nie zawiódł ufności!

Xiężna spójrzała, podziękowała uśmiéchem, nic nie powiedziała, znać co innego w myśli miała. Blada była i drżąca. Xiąże Janusz odezwał sie znowu —

— Pamiętacie Xiężno, pamiętacie, ową jesień spędzoną razem w Brzostowicy! Jak była téj podobną! Pamiętacie, jakeśmy nad pożółkłym ogródkiem Waszym płakali, jak umiataliśmy żółte liście, które codzień wiatr nanosił i niemi uliczki zasypywał! Tak samo wschodziło tam słońce, nad starym la-

musem i lipami, co go otaczały. Jakżeśmy czekali, aby się podniosło wyżéj, aby nam pozwolono wynijść na tarass pałacowy i do ogródka z Panią Włodską!

A Wy — wspomnieniem młodości poruszona odezwała się Xiężna, Wyście moim kwiatkom Waszą szablą ucinali głowy!

— Nie pomagałżem ich sadzić? rzekł śmiejąc się Xiąże, miałem trochę prawo ścinać je potém?

— Czyż kto posadzi, zniszczyć powinien? spytała Zofja.

— Powinien nie, ale może — odpowiedział Janusz. — Czekajcie, czekajcie, rzekł, oto niektórzy Panowie Przyjaciele i Kolligaci, wyjechali przeciw Was i witać chcą. Wstrzymała się kolébka, bo liczniejszy od Wojewodzińskiego poczet sunął się przeciw niéj. Na jego czele był Lew Sapieha i Zenowicz, wielu innych z partij konfederacji za niemi. Postąpili ku Kasztellanowi i głośno go witali. Zenowicz nawet nieprzebrany mówca szukający tylko okazji do figur retorycznych, skorzystał z téj i z zanadrza wy-

dobywszy zwitek papiérów, czytał, aż dwie oracje witające Kasztellana i Xiężnę, a w téj ostatniéj puścił się tak daleko z życzeniami i proroctwy, że ledwie woźnice zniecierpliwione konie utrzymać potrafili. Skończył wreście, ale tuż mu Kasztellan choć krótko z dziękczynieniem odpowiadać musiał, zwracając się nieraz, przez sam wzgląd nauczciwość i zwyczaj, ku Wojewodzie..

Ukończone mowy, posunęły się poczty do bram miasta, razem wszystkie; tu nowa zwłoka. — We wrotach z bębny, chorągwiami, baldachimem i podarkiem na półmisku srébrnym i mową długą czekał Magistrat a kahał daléj jeszcze.

Dobrze ku południowi się miało, gdy przebywszy wszystko, wysłuchawszy mów, na które odpowiadać było potrzeba i dziękować, kolébki Xiężnéj i Kasztellana ruszyły do przygotowanych na przyjęcie dworów, pod Kościołem Jezuickim, w samym Rynku Miasta. — Xiąże Wojewoda z synem i przyjaciółmi, pożegnawszy u proga przybyłych, odjechał do siebie.

Nazajutrz ostatniego Października, bogate dary przyniesiono od Xięcia Janusza dla narzeczonéj i cały dzień na pisaniu ślubnéj Intercyzy upłynął. Wzmianki tam w niéj nie było jeszcze o zapisach, na któreby był, jako opiekun, Kasztellan nie pozwolił. Radziwiłłowie nie okazali najmniejszéj chęci wyrobienia daru ogromnych dóbr, które Xiężna w ich dom wnosiła — Xiąże Janusz nie ukazał się dzień cały. Tym czasem strojono Jezuicki kościół, w którym Unicki Mnich Ruski, ślub miał dawać dostojnym nowożeńcom; sposobiono ucztę jedną we dworze Kasztellana, drugie w Wojewody; całe miasto było w ruchu i od napływu gości przybyłych pełne ludzi, kolass i koni coraz jeszcze i co chwila przybywających z różnych stron. —

Dnia piérwszego Października z największą jak być może wystawą odbył się poźnym wieczorem obrzęd ślubny w Kościele XX. Jezuitów; do którego pieszo szła Xiężna, drogą suknem od domostwa swojego wysłaną, w assystencji mnogiego dworu i przyjaciół. Za nią szedł Kasztellan. Z drugiéj strony

przyciągnął przepyszny orszak Radziwiłłów. Wszyscy na koniach w bogatych rzędach i wysadzanych kulbakach, sami swiécący od złota i drogich kamieni.

Połączona para wróciła pieszo do dworu Kasztellana, gdzie się rozpoczęła uczta wspaniała, trwająca do białego dnia. Wedle powszechnego na ów czas zwyczaju, oddawanie Panny młodéj, odbyło się uroczyście i wobec wszystkich, w łożnicy. Oddawał ją Xięciu Januszowi, sam Pan Kasztellan. Mowa jego z téj okoliczności miana, krótka, poważna; jak zwykle wszystkie owczesne, polecając pięczę nad żoną mężowi, zalecając mu, aby się starał o jéj szczęście, wynosiła wysoce dom Xiążąt Słuckich, którego ostatnia dziedziczka, wchodziła w nową familją. Napomknął też zdaleka Kasztellan o zajściach z powodu tego małżeństwa wynikłych i jak one drogo kosztowało, wziąwszy z tego *assumpt*, do najgorętszych życzeń szczęścia dostojnéj parze.

Od Xięcia Wojewody Radziwiłła, odpowiadał z podziękowaniem P. Zenowicz i dla okazania jako Xiężna nic nie traci zamienia-

jąc sławne imie Olelkowiczów na Radziwiłłów, jął széroko się rozwodzić nad domu Xiążęcego illustracjami, nie przepomniawszy, ani orlego gniazda Lezdejki, ani Barbary żony Zygmuntowéj: ani nawet Kardynalskiego kapelusza świeżo zmarłego Biskupa Krakowskiego. Wyliczył Kolligacje, wysławił czyny pojedyńczych osób, zamknął podziękowaniem i upewnieniem iż w dobre ręce oddaje opiekun szczęście i losy Xiężnéj.

Nastąpiła cukrowa wieczerza i goście powrócili do puharów w sali wielkiéj, które wypróżniali jeszcze i o białym dopiéro dniu do gospód rozjechali się. Nazajutrz powtórzyły się uczty u Xięcia Wojewody z większym jeszcze przepychem, które trwały tydzień cały. Kasztellan nie czekając rozjechania się wszystkich, powrócił do Wilna —

Xięztwo młodzi wyruszyli wkrótce potém z Brześcia do Nieswieża, i gdy Zamojski, Żołkiewski, Chodkiewicze, bili się na Wołoskiéj wyprawie, w kraju rozlegały się Zamki odgłosem moździerzów strzelających vivaty i wesołą muzyką.

VIII.

W lat dziewięć.

VIII.

W lat dziewięć.

Było to w roku 1609; jednego smutnego dnia jesieni. Na Zamku Nieswiezskim, w oddalonéj od zgiełku i wrzawy komnacie; któréj okna osłonione były zielonemi

adamaszkowemi firanki, na łożu wysłaném wysoko, pod pawilonem zielonym ze złotemi sznurami i frędzlami, leżała kobiéta młoda jeszcze, ale blada i wychudła. Włosy jéj rozpuszczone czarne, na białéj rozsunęły się poduszce, jedną ręką nasuwała na siebie nakrycie podbite futrem, drugą trzymała chustkę na ustach sinych i spiekłych. —

U nóg jéj siedziała młoda jak ona, jak ona zwiędła kobiéta, smutnie jéj patrzając w oczy. Milczały, spoglądały na siebie i rozumiały się.

Cichość była w komnacie, którą zégar tylko powolnie ruszający się przerywał jednostajnym chodem, a niekiedy trzask dopalającego się na kominie ognia.

— Teresso, zawołała kobiéta leżąca na pościeli, popraw ognia — mnie zawsze zimno, ja drżę.

Kobiéta u nóg siedząca powstała i zaczęła dokładać drewek w milczeniu, potém wróciła na miejsce i okryła panię swoją, drugiém jeszcze futrem.

— Jeszcze zimno, Xiężnéj Pani? spytała.

— Jeszcze — zawsze! odpowiedziała cho-

ra, na chwilę, pali mnie ogień we wnętrznościach, płomienie chodzą po głowie, świécą w oczach; pieką rozżarzone dłonie — potém znowu śmiertelny dreszcz porywa i zimno, tak zimno, tak okropnie zimno! Daj mi pić!

Służąca podała Xiężnie kubek z przygotowanym napojem, chora do ust go dotknęła, skrzywiła się i oddała nazad.

— Daj mi wody — szepnęła cicho— to napój, któren mnie nie ochłodzi, gdy mi się pić chce, ale rozżarza pragnienie. I gorzéj mi po nim jeszcze. Patrz jak usta moje śpiekłe, jak wyschły, daj mi wody?

— Lekarz zakazał, odpowiedziała sługa.

— Lekarz! Bo pocóż słuchać lekarza zawołała chora podnosząc się— lekarze ciągle mnie męczą i resztę zdrowia odebrali i życie pewnie odbiorą. Zlituj się nademną, daj mi wody! Ja i tak żyć nie będę. Możeż mi jeszcze co zaszkodzić, gdy już nic nie pomaga. Teresso, na zbawienie twoje zaklinam cię, daj mi wody!

I Teressie łzy się zakręciły w oczach, wahała się, potém wyjrzała przeze drzwi i śpie-

sznie podała Xiężnic kubek z wodą, któren chora odrazu wypiła. Potém upadła na poduszkę i drżéć zaczęła znowu i pociągała na siebie wszystko co było, aby się ogrzać.

— O! jak ta śmierć ciężka! Tak długo się o nią modlić potrzeba, tak bardzo cierpiéć, tyle wyglądać, aż przyjdzie wreście! Mój Boże, czemużem nie zmarła młodą, szczęśliwą w nadziejach przynajmniéj! — Ale Bóg skazał na życie, na cierpienie!!

— Nacóż bo W. X. Mość, zawołała Teressa, dręczysz się temi myślami, da Bóg zdrowie i siły. Złe przejdzie, przyjdzie dobre. Pan Doktor codzień upewnia, że W. X. Mość masz się coraz lepiéj.

— Ja czuję, że gorzéj coraz — coraz bliżéj jestem grobu. Nikt lepiéj odemnie nie wié co się dzieje ze mną — Ja umrę, umrę prędko Teresso, i tém się pocieszam —

— Alboż nie masz W. X. Mość żyć dla kogo!

— Dla kogo! Mamże ja kogo, coby mnie kochał, komubym była córką, krewną! Krewni — nie przyznają się do mnie; a mąż —

— Może kto słuchać? ostrzegła Teressa.

— Niech słuchają, to nie tajemnica — mąż nie że mną się żenił.

— Jakto? Xiężno — zawołała Teressa.

— O! wiedzieli dla czego bić się o mnie chcieli, mówiła Zofja — nie dla mnie to, ale dla majątków, które wzięli po mnie — Prędko potém poznałam niebłogosławieństwo Boże nad głową. Dawne dziecinne przywiązanie Xięcia Janusza, zmieniło się w obojętność;— on poszedł bić się znowu z Chodkiewiczami o Starostwa, o Królewskie łaski, porzucił mnie, zapomniał. A jeśli kiedy przyleciał tutaj, czyż rzekł mi dobre słowo, czy pokazał serce mężowskie? Zawsze w sercu jego piérwsza duma i chęć wzniesienia się— a reszta drugiém była. Z początku jam nie wierzyła w nieszczęście, choć miałem zawsze przeczucie jego; jam szukała w Januszu, towarzysza lat młodych, Brzostowickiego mego Jasia — on się stał tak bardzo innym! — Codzień opadały jak kwiaty, moje nadzieje przeszłe, szczęścia — Wkrótce zostałam wdową, nie będąc matką, bo kiedyż go widzę.? i jak

go widzę Teresso, gdy z wyprawy, z wrzawy powróci, z pocztem przyjaciół i siedząc tu tygodnie, raz lub dwa twarz mi swoją pokaże!— O! lepiéj umrzéć i czas już umiérać. Niedarmo mówił stryj o niebłogosławieństwie Bożém! Widoczne ono nad głową moją.

Teressa nic na te skargi nie odpowiedziała, pochyliwszy głowę na rękach, słuchała w milczeniu swéj Pani, a łzy się jéj w oczach kręciły.

— Gdybyż na pociechę, dałby mi był Bóg choć dziécię! mówiła Xiężna— ale nie, dzieci błogosławieństwem są Bożém, a nad moją głową niebłogosławieństwo. Xiądz nas łączył a — nie błogosławił, on przysięgał usty nie duszą, jam przysięgała płacząc, bo czułam moją przyszłość przed sobą.

— Powiedz mi Teresso, ozwała się po chwili. Czy wszyscy tak ludzie zmieniają się w ciągu życia i pełzną — czy wszyscy tak zapominają! —

— W. X. Mość, odpowiedziała sługa, może nadto wyobraziłaś sobie i nieszczęścia i obojętności od męża. Mężczyzna, musi służyć

krajowi, musi iść na wojnę, musi walczyć, musi za domem większą część wieku pędzić, nie jak my u spokojnych krosien.

— Ach, wiém ja to przerwała Xiężna Zofja, lecz czyż mus mężczyznie wichrzyć i na głowę swoją wieść wojny, a na kraj zaburzenia? dobrowolnie wzniecać niepokoje? A potém — Czyż siedząc tu nie mógłby mi okazać dawnéj przychylności, jednėm słowem, jednėm spójrzeniem; gdy ja oto, śmierci tylko lada chwilę wyglądam? Czyż nie mógłby mi tych kilku godzin życia osłodzić —

— Xiąże —

— Próżno tłumaczysz Xięcia — Ty chciałabyś mnie pocieszyć! Ja nie chcę kłamstwa! ja czuję jak jest, ja wiém o wszystkiém! On nie mnie kochał, nie o mnie im szło, ale o bogate wiano — Ja byłam niczém w ich oczach, tamto wszystkiém!! Poznałam teraz, wiém — Bóg tak chciał. —

I poczęła drżeć i okrywać się od zimna.

— Gdyby umrzeć, gdyby umrzeć prędzéj, zawołała płacząc. Takie życie, to śmierć powolna, to męka!

I modliła się ze łzami.

Wtém uchyliły się drzwi komnaty i wszedł mężczyzna posiwiały już, zgarbiony, z laską w ręku, w cudzoziemskim czarnym stroju. Był to lekarz nadworny X. J. Mości.

Spójrzawszy na niego, mogłeś wyczytać w twarzy, i charakter jego i historją. Na pokrzywionėm licu, które krajały wszérz i wzdłuż marszczki i doły, rozsypane były czérwone plamy, sine guzy, białe blizny. Z między powiek obwisłych, niedostrzeżone prawie wyglądały mu oczy jasne i prawie białe; usta skrzywione w jedną stronę, drgały mu dziwacznie. Nizkie czoło włos siwo-brudny pokrywał aż do brwi prawie, dalćj głowa była łysa zupełnie i tylko dokoła trochą téjże barwy włosów pokryta, które kawałami tu i ówdzie przerzucały się. Zgarbiony i na jedną nogę kulawy, podpiérał się laską z gałką pozłocistą. Cudzoziemiec przeżywszy w kraju lat kilkadziesiąt, znał język tutejszy, zwyczaje narodowe i ducha narodu. Usłużny, podły, każdemu się lizał, przed każdym się płaszczył od kogo czegoś się mógł spodziewać.

Taki był Frizjus lekarz nadworny Xięcia Jego Mości.

Xiężna nie lubiła go; on ją leczył od dwóch lat, zapowiadając jéj niemal codzień polepszenie zdrowia, które się widocznie pogarszało. I teraz przyszedł on z zwykłym uśmiéchem, ukłonem, z zwykłemi nadziejami.

—Xiężna Pani, zdrówsza, gorączka mniéjsza, puls wolniejszy, cera czyściejsza! Chwała Bogu! chwała Bogu, Frizjus się cieszy! Frizjus winszuje J. X. Mości.

—Niéma się czego cieszyć ani winszować, odpowiedziała Xiężna łagodnie — ja się mam gorzéj, coraz gorzéj! —

—Co! gorzéj! zawołał lekarz, gorzéj! Cha, cha! To się W. X. M. ze strachu tak wydaje; ale Frizjus mówi lepiéj, jemu trzeba wierzyć; Frizjus się na tém zna. Tylko potrzeba spokojności, trzeba wierzyć, trzeba lekarstwo brać, tyzannę pić, a nie płakać, nie męczyć się myślami. To najgorzéj szkodzi! Frizjus powiada, że ludzie którzy myślą, samą myślą chorobę sobie zrobić mogą. Naco te myśli i rozmysły! Spo-

kojność! Kiedy Frizjus ręczy, że W. X. Mość wyleczy.

Xiężna zamilkła.

— Mój Panie, czy nie mógłbyś, odezwała się po chwilce, pozwolić mi wody, wasza tyzanna mi szkodzi, a pragnienie pali!

— Wody! zakrzyczał lekarz z oburzeniem — Woda to śmierć dla W. X. M. tyzannę pić — Wyborna! wyborna! Frizjus ręczy! Sam ją sporządzałem z wiadomych mi ziół i ingredjencij przedziwnych. Droga i nieoszacowana tyzanna!

Xiężna znowu zamilkła.

Doktor obejrzał flaszki stojące na stole, poszeptał do ucha słudze i wychodził.

— W. X. Mość, niech raczy być spokojną! Frizjus ręczy za zdrowie Jéj! Coraz lepiéj! coraz lepiéj. Dobréj nocy, W. X. Mości!

— Byliście dziś u Xięcia? spytała słabym głosem chora.

— Byłem, zdrów i wesół, zabawia się z przyjaciółmi i krewnemi. Niech mu Bóg

da długie lata. Frizjus z jego łaski ma kawałek chléba.

— Nie pytał o mnie?

— Spuszcza się na Frizjusa i dobrze robi, odpowiedział lekarz, radzę to i W. X. Mości. Dobréj nocy, a tyzannę pić! to zdrowie powróci!

Drzwi się zamknęły.

— Piłabym ją, gdybym wiedziała, że mnie prędzéj umorzy, cicho odezwała się Xiężna— cóż kiedy męczy tylko! Klęknij Teresso i mów głośno wieczorne modlitwy; ja choć duchem modlić się będę z tobą!

IX.

Łoże śmierci.

IX.

Łoże śmierci.

A w drugim rogu zamkowym, na wielkiéj sali, wesoła uczta. Tam zebrali się przyjaciele Xięcia Janusza, jego słudzy, slachta powinna mu i familji; tam

stół nakryty, zastawny misami i puhary, wrzawa rozmowy wesołéj; śmiechy i wykrzyki.

Już się kończy wieczerza, już beczka srébrem kuta stojąca w kominie, wypróżniona prawie i kurzą się łysiny i czérwienieją policzki i języki latają chyżéj i vivat po vivacie zmyślają, na cześć i chwałę Xiążęcia.

A Xiąże uśmiéchając się, pogardliwym wzrokiem mierzy pijanych, szydzi z nich w duszy, choć kłania im się i braci slachtę serdecznie ściska.

Slachta nie widzi szyderstwa na oczach Xiążęcia, nie pojmuje pogardy jaką na nich z ust rzuca, pijana slachta pójdzie w ogień za niego, bo ją nakarmił, spoił, naściskał i braćmi swemi nazywał.

— Rozkazuj Xiąże slachcie, woła Sędzia Lidzki, rozkazuj, a Chodkiewiczowskich Deputatów posiekamy na kapustę w czasie Sejmiku! Dla Xięcia Pana damy się pozarzynać!

— Dziękuję braciom slachcie, woła Xiąże Janusz, héj puhara, zdrowie braci slachty! Podawajcie wina.

I Xiąże wypił ich zdrowie, a oni uklękli

i klęcząc pili Xiążęce, podrzucali czapki do góry, wrzeszczeli na całe gardło

— Vivat Kasztellan! vivat!

Xiąże dziękował.

— M. Xiąże, zawołał na głos slachcic z Nowogródzkiego — Wszyscyśmy Twoi, gdzie rozkażesz pójdziemy. Każesz drugi rokosz zrobié zrobim, każesz iść z sobą, pójdziém choćby na Araby, każesz rąbać na Sejmikach, porąbiemy, sądzić, osądziemy, slachta Twoja.

I znowu puhary i znowu vivaty — Radziwiłłowskiego domu!! Braci slachty! Pod oknami stoją możdzierze, bij w możdzierze i kotły — Vivat!

Wystrzelono.

Chora Xiężna porwała się z łoża, na którém usypiać zaczynała —

— Co to jest zawołała — co to jest, strzelają, biją się! — Chodkiewiczów oblegli — Krew się leje, wojna między braćmi! Na Boga, jam przyczyną! o mnie się biją!

— Xiężno, przerwała Teressa — co za sen okropny — nikt się nie bije —

— Słyszałam strzelanie!

W téj chwili drugi wystrzał dał się słyszéć.

— Co to jest, bitwa? drżąc i załamując ręce, cicho, przerywanym głosem pytała znowu Zofja — Co to jest?

— Strzelają z możdzierzy na vivat! odpowiedziała Teressa — Uczta u Xięcia, sproszono slachtę, Sejmiki blizkie.

Xiężna upadła na łoże.

— Strzelają i weselą się! powtórzyła jakby do siebie mówiąc — On tam weseli się, gdy tu ja umiéram! O gdyby umrzéć prędzéj! Gdyby tego nie słyszéć, nie wiedziéć, nie widziéć.

Wśród ciszy nocnéj, wykrzyki pijanéj slachty, dochodziły okien Xiężnéj i biły w nie wrzawą stłumioną.

— Weselą się! weselą, wołała — cieszą! Xiąże Pan z niémi — Nie mógł przyjść do łoża żony, bo tam go czekała slachta, tam była uczta — Wolał zostać za puharem i stołem, niż u łoża umiérającéj.

Założyła ręce, powiodła obłąkanemi oczyma po komnacie, spuściła głowę na piersi.

Teressa siedziała w nogach i płakała tajemnie łzy ocierając.

— Cóż mój ród zawinił Bogu, że Bóg tak srodze, ostatnią za wszystkich ukarał, szeptała, takiem życiem, taką śmiercią? O! dziadowie moi nie mogliżeście lżejszego życia i łatwiejszéj śmierci, dziecku waszemu w niebiesiech wyprosić.— I te godziny nocy, w których sen rzadki na oczy Bóg zsyła, przerywa odgłos uczty wesołéj Janusza! Któżby był odgadł przed kilką laty, że teraz taki koniec mój będzie—Dobrze mówił stryj, nad głowy naszemi niebłogosławieństwo Boże!!

Teresso mów modlitwy, ja się z tobą modlić będę.

Zapukano do drzwi.

— To pewnie Frizjus — rzekła Xiężna.

Był to Frizjus w istocie. Przychodził zobaczyć co się działo z chorą i jak zawsze powtórzył—

— Xiężna Pani, ma się lepiéj — spała już trochę!

— Ledwie oczy zmrużyłam, odpowiedziała, zbudziłam się przelękła na odgłos wystrzałów.

— Ha! ha! to Xiąże Pan ucztuje! rzekł le-

karz. Daj mu Boże zdrowie, dobremu Panu! weseli się ze slachtą.

I przystąpił do łoża, wziął pulsu, spójrzał w twarz Xiężnéj, potrząsł głową, nie rzekł więcéj — że ma się lepiéj, zalecił pić tyzannę i wyszedł.

Zawarłszy drzwi komnaty, pokiwał głową, stanął, myślał, patrzał; i szybko posunął się przez szereg komnat, ganki i dziedzińce, do sali, w któréj Xiąże Janusz ze slachtą ucztował.

Wsliznął się w tłum nieznacznie i przybliżył do Xięcia, któremu nizko się pokłonił.

— Frizjus chciałby mieć szczęście, mówić z Xięciem Jego Mością dwa słowa?

— Cóż tam? mów Frizjus!

— Xiężna Pani, szepnął lekarz, ma się źle bardzo, bardzo źle — nie wiém czy tyzanna i pigułki pomogą co—Choroba wzmaga się coraz bardziéj.

— Umiéra! zakrzyknął Janusz porywając się—

— Nie jeszcze, nie—prędko z nizkim ukłonem, rzekł Niemiec — ale nie mogę ręczyć,

nie mogę ręczyć. Xiężna Pani bardzo źle, Frizjus w rospaczy! Zasnęła była chwilkę, strzelanie ją przebudziło, przestraszyło—porwała się ze snu i gorzéj jest co chwila. Frizjus miał sobie za smutny obowiązek donieść o tém W. X. Mości —

Xiąże zamyślił się — Potém skinął ręką na któregoś z swych poufałych —

— Zostań tu gospodarzem, Panie Pietkiewicz, rzekł, ja muszę odejść —

I wyszedł niepostrzeżony, zwoławszy dwóch z biesiadniczéj sali.

Weszli do pokoju Xięcia.

— Jesteśmy na rozkazy!

— Siadaj i pisz, Panie Ostromecki rzekł Xiąże, siadaj i pisz natychmiast donacją, od Xiężnéj Jéj Mości Xięztw Kopylskiego i Słuckiego na mnie—przelanie jéj praw, tytułu— rozumiész?

—Rozumiém Jaśnie Oświecony Panie, rzekł suchy i chudy Ostromecki, zaraz pisać?

— Natychmiast. Naradź się Wasze o formę z znajdującemi się tu urzędnikami i wygotuj akt jak należy do rana.

— Prosiłbym W. X. Mości o potrzebne papiéry.

— Do Archiwum! zawołał Xiąże Janusz, niech ci wydadzą—

— WMość, rzekł do drugiego, jedź po Xiędza Prokopa —

— Natychmiast?

— Téj chwili.

Skinął, odprawił, a sam usiadł pisać. Po krótkiéj chwili, miotany widoczną niespokojnością, wyrwał się z komnaty i przebiegłszy Zamkowe sale, udał się pod drzwi pokoju żony.

Nadstawił ucha i słychać było głos Teressy odmawiającéj modlitwy, za którym Xiężna osłabionym, stłumionym głosem, powtarzała je powolnie.

— Módlmy się za nieprzyjaciół naszych czytała Teressa.

— I za tych co nas obrazili.

— I za tych, powtórzyła Xiężna, którzy nas zdradzili i uwiedli — Przebacz im Panie. Przebacz jemu!

Umilkła.

— Dość Teresso, dość, słabo mi, mówić nie mogę, zasnę może.

Xiąże rozkazał pokojowcowi wywołać P. Teressę.

— Xiężna Pani gorzéj? zapytał jéj surowo.

— Coraz gorzéj, odpowiedziała z westchnieniem. Dziś gorzéj niż kiedykolwiek, przeraziło ją strzelanie z moździerzy—Zasypia i zrywa się, krzycząc przez sen z gorączki.

— Myślicie że nie wytrzyma nocy? spytał zimno Xiąże.

— Niech Bóg uchowa nas od tego nieszczęścia! twarz zakrywając rękoma zawołała sługa. Alboż wiém! I zaczęła płakać.

Xiąże spójrzał, wzruszył ramionami i odszedł; a idąc przez puste komnaty mówił do siebie.

— Gdyby umarła, umarła bez zapisu, bez ostatniéj woli! Na cóż bo było spuszczać się i do ostatniéj chwili odkładać, sam winienem, sam winienem. Potrzeba było wcześniéj o tém pomyśléć.

Wrócił i słuchał u drzwi—Nic słychać nie było, tylko trzask palących się drewek na ko-

minku i chód powolny zegaru. Xiąże poszedł niespokojny do siebie; nim ranek nadszedł, posyłał kilkakroć dowiadywać się, czy Akt wieczystéj donacji gotowy, czy Xiądz Prokop przyjechał, czy Xiężna zdrówsza i co robi.

Tak oka nie zmrużył noc całą i nad świtaniem usnął dopiéro, rzucany przez sen niespokojnemi myślami.

Gdy się przebudził, już oddawna P. Ostromecki czekał w przedpokoju z pliką papiérów, a Xiądz Prokop paciérze odmawiając poranne.

— Jak się ma Xiężna? spytał niespokojnie.

— Jak wczoraj!

— Zawołać Frizjusa!

— Frizjus czatował już między zebranemi w przedpokojach i wysunął się jak mógł najprędzéj do Xięcia.

— Byłeś tam dziś?

— Byłem — byłem! Frizjus płacze! odpowiedział, sztuka nic już nie nada! życie się wyczerpało! Źle, źle! Niemam co kryć przed Waszą Xiążęcią Mością — Czyniłem co mogłem!

— Wiele jeszcze pożyć może? spytał Xiążę.

— Może — kiwając głową odpowiedział lekarz, praeter, propter — do wieczora!

— Ręczysz za to!

— Bóg tylko wié, Frizjus nie śmié ręczyć!

— Zawołać Ostromeckiego!

I Xiążę tyłem się do doktora odwrócił, a on wyszedł.

— Akt donacji?

— Gotowy. Radziłem się *ad formam* Pana Sędziego Nowogródzkiego i Pana Deputata Czerwiakowicza; approbowali moją jakom podał. Zapis obejmuje *generaliter* cały wniosek Xiężnéj Jéj Mości, Xięztwa Słuckie i Kopylskie *cum attinentiis*, wszelakie ochędóstwo, ruchomość etc. etc. nic nie wyjmując i nie odłączając.

— Zapis ten nie może być zaprzeczony, skassowany? spytał Xiążę — Wiém, że PP. Chodkiewicze, protest przeciw niemu zapiszą i pieniać mię będą. Potrzeba się formą obwarować, aby walor miał.

— Forma jak tylko być może najbardziéj

prawna — rzekł Ostromecki, Wasza Xiążęca Mość, może być spokojną zupełnie.

— Xiędza Prokopa!

Uchyliły się drzwi, któremi razem wyszedł Pan Ostromecki zacierając ręce i wsunął się Mnich Zakonu Ś. Bazylego z nizkim ukłonem. Niemłody już, pochylony trochę, choć i tak jeszcze wysokiego wzrostu, Ojciec Prokop, miał postawę mnicha rycerza. Czoło wyniosłe, usta dumne, nos orli, oczy wielkie i pałające, choć zmarszczkami otoczone. Było mu w téj sukni duchownéj, zawadno, nie do charakteru, jakby się w nią dla igraszki tylko przebrał.

Na nizki dość pokłon Ojca Prokopa, skinieniem tylko głowy odpowiedział Xiąże.

— Xiężna Pani, małżonka nasza miła, źle się ma bardzo, rzekł zaraz. Chciéjcie uwiadomiwszy ją wprzód o Waszém przybyciu, udać się tam zaraz. Starajcie się ją przygotować do uczynienia rozporządzenia które na wszelki przypadek, będąc potrzebne z porządku rzeczy, nikogo nie umarza i jest tylko ostróżnością konieczną.

— Rozumiém i uczynię, odpowiedział Xiądz Prokop.

— A jeśli miarkować będziecie, że się nakłania Xiężna Pani, dacie tu znać.

— Idę spełnić rozkaz! I Ojciec Prokop się wysunął.

Pacholik Xiążęcy przeprowadził go do oddalonych komnat Xiężnéj Pani. Ale tu nie zaraz wszedł, oznajmiwszy się wprzód poufałéj Pannie Teressie, która przygotować miała Zofją.

— Xiądz Prokop przyjechał? rzekła zcicha Teressa siadając u łoża Pani, jest w Zamku—

— Posyłano za nim? spytała Xiężna.

— Nie—nie wiém—odpowiedziała Teressa.

— Ja wiém że posyłano. On tu jest niedaleko; Powiedzcie mu niechaj wejdzie.

Teressa wyszła, skinęła i wwiodła Ojca Prokopa.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, rzekł wchodząc.

— Na wieki, szepnęła Xiężna pocichu, siadajcie, Ojcze. Dzięki Wam, żeście przybyli tutaj, właśniem miała prosić, aby po Was

posłano. Wybiéram się w długą drogę, potrzebne mi Wasze błogosławieństwo i uspokojenie duszy.

— Błogosławieństwo, spowiedź, zawsze się zdadzą, rzekł Xiądz, chociażby nie na drogę wieczności. Wasza Xiążęca Mość nie powinnaś myśléć o śmierci — Bóg daje zdrowie w chwilach najmniéj spodziéwanych, gdy łaska Jego Najświętsza zstąpi. W. X. Mość, przy swéj młodości, możesz się jeszcze spodziéwać długiego da Bóg życia —

— Ach! nie chcę go Ojcze! odpowiedziała Xiężna, nie pragnę wcale! Sprobowałam dosyć—Śmierć mi nie straszna.

—Żadnemu Chrześcjaninowi dobremu straszną być nie może, rzekł Ojciec Prokop. Kto w życiu nie miał zgryzot sumienia, ten przy śmierci, nie lęka się wieczności.

Mówił tak dłużéj jeszcze Ojciec, a Xiężna milczała. Po chwili kazała się usunąć Teressie i odbyła spowiedź.

— Ojcze, rzekła potém spokojnie, dajcie mi pomazanie ostatnie!

— Lecz może —

— Dajcie mi je—powtórzyła, ja czuję śmierć moją, a tak spokojniéj umrę.

Obrzęd ten odbył się w przytomności kilku sług tylko. Xiężna spokojnie i pobożnie go spełniła, na jéj twarzy nie widać było tego strachu, jaki gdzieindziéj rodzi myśl śmierci i obrzędy przypominające ją; owszem modląc się przyjęła Oleje Święte, jak gdyby pragnęła i wyglądała końca życia i cierpienia. I modliła się potém jeszcze ze łzami, modliła długo, serdecznie.

—Teraz, rzekł Ojciec Prokop, gdy wszystko się spełniło; jako Kapłan dla spokojności sumienia W. X. Mości przypomnieć Jéj muszę, iż naprzód pomyślawszy o duszy nieśmiertelnéj, powinien także Chrześcjanin, zostawując na ziemi krewnych, przyjaciół, niechętnych, majętność, uczynić stosowne rozporządzenie własności, aby ona potém przyczyną zajść, sporów i zgorszenia nie była; powinien tak zostawić wszystko, aby umierał spokojny na sumieniu i na duszy. Nie mówię ja tego, dla tego żebym się lękał o życie W. X. Mości, które spodziéwam się będzie jeszcze najdłuż-

sze i najszczęśliwsze; ale że taki powszechny porządek i że jako stróż sumienia obowiązany jestem —

Xiężna słuchała, lekki szyderski uśmiech błąkał się po jéj ustach.

— Uczynię co potrzeba—odpowiedziała, i o Waszym Słuckim Monasterze nie zapomnę. Módlcie się za duszę moją i rodziców i dziadów moich!

Xiądz Prokop dopełniwszy swego przy choréj obowiązku, wychodzić miał.

— Będziecie u Xięcia małżonka mego? spytała Zofja —

— Idę do niego—rzekł Prokop.

— Proście go odemnie, aby się ze mną zobaczył, powiedzcie mu że jestem źle i czuję się coraz gorzéj. Życie ucieka, niech przyjdzie do łoża konającéj — niech przyjdzie. Powiedzcie mu żem go prosiła.

— Śpieszę spełnić wolę W. X. Mości—odpowiedział Ojciec Prokop i wyszedł z poselstwem do Xięcia Janusza.

Xiąże oczekiwał go niespokojny.

— Wszystkom dopełnił, rzekł Kapłan, Xię-

żna Pani przykładnie i świętobliwie dopełniła spowiedzi, przyjęła viatyk. Powiada, że czuje się gorzéj coraz, chociaż ja od ostatniéj mojéj tutaj bytności, pogorszenia i różnicy nie widzę. Poleciła mi prosić W. X. Mości, abyś —

— Co mam uczynić?

— Abyś poszedł ku niéj i nawiedził ją.

— Będę tam! odrzekł Xiąże — Ostromecki, gdzie papiéry? zawołał.

— Oto leżą przed W. X. Mością.

— Uproście na świadków dwóch panów sąsiadów, albo i więcéj, żeby się pisali pieczętarzami do Aktu —

— Znajdziemy ich gdy będzie potrzeba.

Po tych kilku słowach, wyrzeczonych zimno, Xiąże wyszedł z swojéj komnaty i udał się do żony. Przyszedłszy do drzwi, chwilę się zastanowił, jak gdyby myśli zbierał, potém pocichu rozwarł je i wszedł.

Na twarz bladą Zofji, wystąpił rumieniec; powstała na łożu i powitała go łagodnie, jak gdyby mu nic do wyrzucenia nie miała. Xiąże Janusz zmięszany kilką słowy ją pozdrowił.

I na jego twarzy znać było poruszenie, nie umiał mówić, nie wiedział co powiedziéć; widok choréj zmięszał go widocznie. Zdawało się jak gdyby zgryzota sumienia, ozwała się po długiém milczeniu.

—Dzięki Wam, żeście chorą nawiedzili, słabo powiedziała Xiężna, własniem żądała widziéć się z Wami. Ja mam się źle i czuję smierć przed sobą—potrzeba było się pożegnać!

I wyciągnęła do niego rękę wyschłą, którą Janusz w milczeniu ucałował.

—Chciałam też póki czas, mówiła daléj, rozporządzić majętnością moją, którą Wam oddaję i przekazuję, zupełnie. Każcie się modlić za duszę Zofji!

Xiąże poczérwieniał i poruszył się na krzesle; jemu przypomniały się może młodsze lata i uczucie młodsze, przyszło wspomnienie dziecinnych chwil z Zofją spędzonych, gdy ją miał na zawsze utracić.

—Dajcie mi ten zapis, któryście kazali sporządzić, ja go podpiszę póki mam siły—rzekła.

A Janusz porwał się z krzesła.

— Ojciec Prokop, mówił Wam o zapisie? zawołał żywo — Wiécie o nim?

— Wiém o nim ale nie od Xiędza Prokopa — odpowiedziała, czułam że być powinien uczyniony ten Akt — Dajcie mi go — Macie go przy sobie!

Zdziwiony Xiąże, dobył papierów, Teressa na skinienie Pani, podała pióro i Zofja podpisała go. Potém upadła na łóżko i westchnęła. —

— Ustąp Teresso, rzekła i zostaw nas samych.

— Xiąże, rzekła gdy byli sami — to zapewne ostatnia chwila razem, ostatnia moja z Tobą! Ja umrę dzisiaj! W nocy ukazał mi się duch ojca i matki w białych szatach, wołali na mnie i wzywali ku sobie —

— To sen — powiedział Xiąże —

— To było widzenie z nieba! mówiła Zofja i nie myślcie żebym się lękała smierci!

Podała mu znowu rękę.

— Jakże i teraz nawet, ciągnęła daléj, i teraz nawet, nie będziesz dla mnie, nie poże-

gnasz mnie, dawniejszym jak byłeś w młodych latach? Zawsześ zimny Januszu! zawsze duszą gdzie indziéj!

Na tę wymówkę piérwszę w życiu, zadrżał Janusz; już przed chwilą widok Zofji przejął go był i poruszyło teraz te kilka słów łagodnie wyrzeczonych, a tém bardziéj dotykających, doszły do głębi jego duszy. Duma, chciwość, ustąpiły na chwilę z serca jego, zapomniał z czém przyszedł, ujrzał przed sobą Zofję tylko lat dziecinnych, Zofję którą kochał braterskiém sercem, nim przyjął do niego uczucia, co wygnały precz przywiązanie; zapomnieć kazały miłości narzeczonego i brata.

On ukląkł przed nią i schwyciwszy jéj rękę, zapłakał.

Zofja ujrzała to, zajasniała radością, podniosła się — nie wierzyła oczom.

— O! jak niesłusznie narzekałam, zawołała — o! jak dobry Bóg, który mnie taką chwilą przed smiercią obdarzył, jak dobry Ty jesteś, żeś Zofją przypomniał, żeś mi pokazał iż nie zewszystkiém zapomniałeś mnie jeszcze! Dzięki Ci! dzięki! Słodko mi bę-

dzie umierać, Januszu, Ty jeszcze pamiętasz Zofję, Ty może nie zapomnisz o niéj w Twoich modlitwach!

—Nigdy! rzekł Janusz.

—Nigdy! mówiła Xiężna—Tak i dawniéj mówiłeś, tak przysięgłeś u ołtarza, a jednak! o Boże, jak się wszystko zmieniło. Na łożu smierci, w godzinie skonania, nie chcę Ci czynić wyrzutów, lecz w cóż poszły moje nadzieje, w co poszło szczęście moje! Byłżeś Ty dla mnie jakim przyrzekłeś? Tyś wziął Zofją i porzucił na pastwę samotności, cierpieniu, bez słowa pociechy, bez uśmiéchu. Tyś o niéj zapomniał, Tyś był przyczyną żem wierzyła w niebłogosławieństwo Boże nad nami! A! niech Ci to wszystko Bóg przebaczy, jak ja daruję i zapominam w téj chwili—

—Zofjo—ty mię obwiniasz, rzekł Xiąże, coraz bardziéj poruszony—

—Nie, nie—zapomniałam wszystkiego, nie obwiniam Ciebie, przebaczam Ci moje cierpienie, i dziewięć lat łez samotnych! Tyś musiał służyć krajowi a zapomnieć żony; lecz Janie mój, tyś młody, jeśli ci Bóg da drugą

Zofję, którą weźmiesz pewnie niedługo, weź ją nie kochając, weź ją nie okazując jéj przywiązania! Weź ją jak matkę Radziwiłłom, nie za żonę sobie! Ty nie możesz mieć żony! Żona to druga połowa duszy męża, to jego cień; jéj potrzeba przywiązania, jéj trzeba słońca aby żyła. Jéj słońcem mąż i Pan którego wybrała, któremu przysięgła, dla którego porzuciła i wyrzekła się rodziców, domu, zaparła się imienia swego. Ty nie możesz mieć żony; weź tylko matkę Radziwiłłom; nie obiecuj przywiązania, bo nie dotrzymasz i zabijesz ją, jak mnie —

To mówiąc zakryła twarz rękoma i zapłakała. Xiąże płakał także i milczał. Uczuł on winę swoją i nie śmiał się nawet tłumaczyć.

— Wszystko zapomniane, wszystko przebaczone i jedna chwila, jedna łza Twoja zapłaciła dziewięć lat łez moich! Ja Ciebie nie obwiniam. Tyś wprzódy był Radziwiłłem niż mężem, Ty potrzebujesz pokarmu dla duszy i sławy, bogactwa, wziętości, Ty tém żyjesz. — Weź taką któréjby do życia wystarczyło sławy, oklasków, przepychu, któréjby

szczęściem mógł być tytuł i znaczenie — Będziecie szczęśliwi! To moja rada ostatnia, Januszu i pożegnanie z Tobą. Zapomnij wymówek, przebacz jak ja przebaczam, proszę Cię przebacz mi wszystko idącéj na lepszy świat grzesznicy. Każ się modlić za duszę moją, ojca i matki i dziadów! A jeśli możesz i Ty sam, zmów za mnie —

— Ty nie umrzesz Zofjo — zawołał Xiąże poruszony —

— O! umrę, umrę! czuję smierć i nie lękam się jéj. Cienie ojca i matki wołały mnie ku sobie, czas mi do nich, bądź zdrów na zawsze i przebacz mi wszystko.

Potém zamilkła znużona długiém wysileniem, łzy jéj kręciły się na oczach, oddech spieszny, ciężki, podnosił wyschłe piersi w których odzywała się chrypka przedśmiertna.

Xiąże spojrzał na nią, była blada i oczy miała zamknięte. Chciał powstać, ona go za rękę wstrzymała —

— Pobądź przy mnie, póki nie umrę! Daruj mi chwilę jeszcze. Mówcie modlitwy, bo życie ucieka.

Teressa uklękła u łoża i głośno z płaczem odmawiała modlitwy nad konającemi. Xiężna leżała blada z oczyma zamkniętemi i nie puszczała ręki męża, któren stał obok smutny, ponury, milczący.

X.

Xiążęta Słuckie.

X.

Xiążęta Słuckie.

Nad wieczorem biły dzwony wszystkich kościołów i Cerkwi miasta i wsi okolicznych; dzwięk ich rozchodził się w powietrzu razem z szumem jesiennego wiatru.

Xiężna Zofja Olelkowiczówna nie żyła — W Kaplicy zamkowéj na katafalku stała otoczona gorejącemi świécami jéj trumna, a przed nią tarcza z pogonią litewską i orłem Radziwiłłów; mnisi śpiéwali, dzwony biły, świéce gorzały, mąż płakał dwa dni w osobnéj komnacie i sprawił pogrzeb wspaniały— a wkrótce; ożenił się z Elżbietą Zofją Xiężniczką Brandeburską.

Tegoż roku w zimie, dwóch podróżnych, zaszli zrana odwiedzić Cerkiew grecką, w Słucku. Jeden z nich był stary i pochylony wiekiem, drugi czerstwy jeszcze i młody. Obu strój skromny i czysty, okazywał uczciwą mierność. Starszy okryty był szubą lisią, młodszy siwą barankową bekiészą. Uklękli przed ołtarzem i modlili się długo, potém stary powiódł oczyma po murach Cerkwi i dojrzawszy wyrytego świéżo złoconemi głoskami na tablicy marmurowéj nagrobku, czytał go powolnie.

Nagrobek był następujący.

D. O. M. S.

Magnorum Litvaniae Dynastarum
Propagini.
Ex Illustrissima Słucij ac Kopyli
Ducum familia, Eheu ultimae
Zophiae Olelkoviciae
Patre, Avo, Proavo, Georgio
Abavo, Simone, Atavo Michaële
In Slucko et Kopyle Ducibus
Tritavo Olelkone
Jagellonis Poloniae Regis Fratre
Olgerdi Magni Lithvaniae Ducis Nepote,
Gedimini Pronepote
Vitonij Abnepote,
Matre vero
Barbara ex Illustri Priscarum Familia
Prognatae.
Janussius Radziwil.
Birżarum ac Dubincarum
In Słucko et Kopyle Dux
Supremus Pocillator etc. etc.
Moestissimus Conjunx Conjugi desideratissime,
Faeminae et genere, et forma, nec non
Virtute aevo suo clarissimae
Non absque lachrymis posuit.
Vixit Annos XXV.

Przeczytawszy ten, zwrócił się stary do drugiego nagrobku po rusku pisanego, tuż obok leżącego. Ten pokrywał zwłoki Xięcia Jerzego ojca Zofji. Przeczytawszy napis, ukląkł stary i ze łzami się modlił.

Właśnie ukończono liturgję i jeden z Xięży wychodzących dójrzał płaczącego u grobu starca. Zastanowił się, przybliżył, a szanując modlitwę i łzy, czekał z zapytaniem, aż starzec z pomocą młodego towarzysza swojego powstał. Naówczas Mnich go powitał.

— Znaliście tego, kogo ten kamień pokrywa? rzekł.

— Był to mój Pan, świeć Panie nad duszą jego, odpowiedział starzec powolnie, ostatni swojego rodu, Jerzy Olelkowicz, Xiąże Słucki! Na moich ręku on skonał, z jego łaski mam chléb dla siebie i dzieci — ze łzami pomodliłem się za niego.

— Nie zajdziecie do Klasztoru?. spytał Mnich. Zapewnieście w podróży; nie odmówcie gościnności Mnichów.

— Dziękuję, rzekł stary, ale tu mi przypomniały się tak żywo dawne czasy, młodość

spędzona z Xięciem Panem, że teraz, kiedy już ród nawet wygasł, w kilkadziesiąt lat, nie mogę bez łzów patrzéć na ruinę, i gdybym tu pozostał dłużéj, położyłbym się może, przy dawnym Panu. Póki człek nie patrzał, póki tylko wspominał, mógł jeszcze znieść; ale ten grób, ten grób i grób jego córki biednéj tak młodo zmarłéj. Trzebaż mi było dożyć, aby po ich mogiłach chodzić, mnie starcowi!

Znużony staruszek usiadł na kamieniu smętarnym, a Mnich tuż przy nim, młody jego towarzysz stał z tyłu za niémi.

— I tak niéma już XXiążąt Słuckich, mówił daléj, niéma ich; ostatnią pogrzebliście bezdzietną — I dobrze się stało, mieli wielcy ludzie skarłowacićć, lepiéj że ich ród wygasł ze szczętem. A wiécie Ojcze, jaki to ród był, i jaka krew?

— Słyszałem, rzekł Mnich, ale coś nie spełna, opowiadano o tém w mowach pogrzebowych!

— Napisano na nagrobku nawet, przerwał stary, ale pofałszowano genealogją, powiém szczérze Ojcze! Ktoś nieumiejętny pisał. Ja-

to znam ich historją, bom się jéj i nasłuchał i naczytał po kronikach.

— Nagrobek, pisał Ojciec Prokop —

— I napisał, Boże odpuść.

— Jak go nauczyli —

— Któż to Wasz Ojciec Prokop?

— To ja, miły Panie.

— Wy?

— I dla tego właśnie, radbym abyście mi powiedzieli co, o Xiążętach Słuckich, żebym się swego czasu, drukując pogrzebową mowę, mógł poprawić.

— Powiedziałbym Wam z duszy serca, rzekł stary, ale głowa moja dziurawa już, powylatywało z niéj co było mniéjszego, ledwie się co sporsze utrzymało, chybabyście sobie to połatali, gdzie z xiążkami —

— Mówcież tylko; a zawsze się to na coś przyda.

— To już pewnie wiécie, rzekł stary jakie jest pochodzenie Olelkowiczów, od Włodzimiérza Olgerdowicza, Xięcia Kijewskiego, któregoto Witold W. Xiąże Litewski wyzuł był z dzielnicy jego, zabrawszy mu Żyto-

miérz, Owrucz i inne miasta; aż dopiéro za wstawieniem się brata Jagiełły, dano mu w zamian za Kijew, trzydzieści mil kraju, z Kopylem. Tutaj założył on miasto Słuck, oto gdzie jesteśmy właśnie.

Ten Włodzimiérz syna miał Alexandra, z ruska Olelkiem zwanego, i od niego Olelkowiczami, a od Słucka, Xiążęty Słuckiémi, zwać się poczęli. Olelko wsławił się na wyprawach z Witoldem przeciw Moskwie, w których Kijewianom dowodził. Po śmierci Witoldowéj, Litwini chcieli go nawet u Jagiełły na Wielkie Xięztwo wyprosić; ale Zygmunt posiadłszy je pod pozorem zmowy jakiéjś odebrał mu nawet dziedziczny jego Słuck i Kopyl, uwięził w Kiernowie, żonę zaś z dziećmi w Ucianie i podobno ich tak trzymał póki żył, z któréj niewoli, dopiéro ich śmierć nagła Zygmuntowa uwolniła. Po owym wypadku znowu pono na Wielkie Xięztwo, Olelka wiedli Panowie niektórzy, ale tak los chciał, aby nim nie był; powrócono mu tylko Xięztwo Kijewskie, które trzymał jeszcze lat dwanaście. Miał za sobą Xiężnę Moskiew-

ską wnuczkę pono Witoldową, a z niéj dwóch synów, Siemiona Xięcia Kijewskiego i Słuckiego Michała. Byli się oni powaśnili o podział ojcowizny, którą między nich Król Kazimiérz, tak podzielił, że Siemionowi całe Kijewskie, a Michałowi Kopylskie Xięztwo się dostało.

Nie będę daléj prowadził WMości ich rodu, bo się ztąd podzielił na dwie gałęzie, ale tylko znaczniejszych wymienię.

Siemion ów Olelkowicz, ośmnaście tylko lat mając, ledwie dorosły ze swojemi ludźmi tylko zebranemi na prędce, zbił dwanaście tysięcy Tatarów pod Grodnem i tém taką sobie zjednał sławę, że go jak przedtém ojca wiedli na Wielkie Xięztwo i forytowali. Swiekier jego Jan Gastold pomagał do tego, ale Kazimiérz Król lękając się podziału rządów nie chciał dozwolić, choć publicznie na którymś Sejmie, o to się dopominali Litwini. Umiérając Siemion, wedle zwyczaju, posłał Królowi konia swego białego i łuk, z któremi nieraz Tatarów wojował, polecając mu w opiekę syna Wasila i córkę Alexandrę, po-

źniéj Xięcia Ostrogskiego małżonkę! Już tedy i Kijewskie Xięztwo w prowincją zmienione, odjęte im zostało, siedli na Kopylu i Słucku. Niemniejsi przeto bohatérowie i każdy z nich, weźmieszli trzech Jerzych czy Siemionów, stawili się do boju w potrzebie ze swojemi ufcami. Jeden pod Lebiedziowem za ostatniego Jagiełły, dwa tysiące dwieście ludu swojego wiódł do boju — Inni do Inflant słali półki na potrzebę; a żaden krwi i majętności nie żałował!

Z Michała Kopylskiego Xięcia, nie mniéjszych ród poszedł bohatérów! Siemiona syna jego wiedli jak innych na Wielkie Xięztwo, gdy Alexander wybrany został. On to nad Uszą pobił Tatarów na głowę, którzy rychło otrzymawszy posiłki tu go w Słucku oblegli, gdzie im się odpiérać nie mógł. Umarł, ale w żonie i synu dusza jego mieszkała. Anastazja sławna jest ze swego męztwa, jakiego w kobiétach rzadko? Syn Jerzy szesnastoletnie dziécię, z Glińskim na on czas buntownikiem się mierzył, potém jak przodkowie jego uganiał Tatarów, których raz

osiém tysięcy na głowę zbił, potém czterdzieści wracających ze zdobyczą z Litwy poraził, rozproszył, i wodzów im trzech żywcem pobrał. Niemała część sławy dla niego, w zwycięztwie pamiętném pod Orszą; z Tatary potém pod Łopuszną; pod Holszanicą, w Czerkassach, wszędzie zwycięzca się potykał.

I cóż się z tych wielkich ludzi zostało, mówił daléj starzec trzęsąc głową, kilka pisanych złotem kamieni, garść popiołu i kości, pamięci trocha u ludzi!

— Małoż to jeszcze? rzekł ojciec Prokop, małoż pamięci saméj, gdy ona znikome życie przedłuża? Cóż więcéj chcecie od naszego świata i co on więcéj dać może!

— Wieczne im odpocznienie na lepszym i światłość wiekuista niechaj im tam świeci! rzekł stary wstając z kamienia.

— Amen — dodał Mnich pocichu.

KONIEC TOMU TRZECIEGO

I OSTATNIEGO.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

DODATEK.

Legenda.

Yako Sathan

kusil pustelnika na puszcze.

Legenda kthorą opowiedal Pan Mikolay Rey z Naglowice u Pana Pszonki na Babinie (*)

Pierwszy jeno krok trudny.

Kiedy sie thak owo na thy dussne igraßki, a czudny zabaweczky wssyſtcy po ſczypcie zrzucać mamy y jać wam

---

(a) Pisownia nie jest całkowicie XVI wieku, lecz główne tylko ma ówczesne cechy. Drukowana ta Legenda w *Bojanie. 1838 roku str. 93.*

powiem jedną, pry Pan Rey z Nagłowice powstając, a siwego muskając wąsa; alie mi daczie śliwek necke Panie Stanisławie, żebym sobie gadając gardziele przecierał, a z garniec miodu Lubelskiego od Mathyasza z Winiawy, boć wiecie, że ja nie rad na czczo gadać poczne.

Skinął hnet Pan Pszonka, a pachołkowie mu wino i antypasthy z owocami przynieśli, ktore koley oszedłszy, przed Panem Reyem sie zastanowiły. Dopieroż zabłyszczał mu on jego żarłoczny żołądek przez oce, y tak prawić począł, często gardło płucząc, a przecierając.

Zabyłem gdziecz to czedł, bo rzecz nie mojey głowy, albać to w żywociech Swie-

tych, ktory zową Legendy, albo mi to za ſie ongi jaki klicha ſtary, co jesli nie Mnich z ambony w uſze kładł. A ta mi sie bajka czy prawda spodobała, ażem ją w pamietaniu zachował chocia bez ymion a miesc własnych, z kim i kedy ſie to działo; a tho ſobie kożdy dołożcie, yako ktory chce.

A miało ſie thak:

Był ongi na puſzcze jedyn ſwiąthy puſtelniczek, trawiąc dni ſwoye na rozmyſlaniu a modlitwyech, yako prawy Cenobitha. A był tak wielkim ſwoyego ciała, ba wſzelkiey cielesnosci nieprzyjacielem, że żył ono zyoły a korzonkamy yakie na oney puſzcze naydował pod nogi, nie bacząc na wygode, cho-

dząc w skorze zwierzecey, bez wszelakyego schronienia a dachu nawet od słoty y złey pory. Y był przyszedł do tego stopnia moczy nad sobą, iż w dumie swey powiedział duszy swojey.

— Otociem ja wolen grzechu, y żaden mnie sathan nie skusi na zło.

Rzekł tho, alisci gi Bog usłyszał i zesłał nań czarta aby go kusił, a było mu ymie Mephistophilis, ktory yest yeden z dukow piekielnych abo starszych, a przeto przebiegleyszy a chytrzeyszy od ynnych, yako tho theologom wyadomo. Y skrobał sye w głowe szathan a myslał yakoby gi pożył, y niewidział słabey strony, y zayrzec nie mogł w yego serce, z kąd by go ranił, tak sye on swią-

thy człowieczek od swiata był odwiązał. Alec już go nie puszczał ani na chwile, tylko krok w krok za onym pustelniczkiem chodził a szpiegował gi. Wszakże długo bezskutecznie, bo głosu yego słyszec nie mogł, a przeto serca społna nieznał. Nie zrazil sie jednak sathan, a konczył swoye, y rok tak już z onym swiąthym na puszcze przemieszkawszy, począł mocznieyszych szukac srodkow ku pokuszeniu, aby go w utrate cnoty uwiodł.

A stało sye thak, yż on swiąthy czło wiek wyszedł raz na brzeg lasu y modlił sie patrząc na zachodzące słońce. Y spodobał mu sye widok swyata, jakiego niemiał dawno. A był wieczor wio-

ſenny, woniejący zioły i czudny, y ci=
chość yaka przed nocą bywa uroczyſta
a dumanyom pochopna. Znienaczkawiec
za naprawą kathanſką, jął dumac prze=
ſtawſzy ſye modlitwy on ſwiąthy czło=
wiek, a cofając ſie myſlą młodosc ſwoyą
przypomnyał. Bo yle razy człowyek
duma y rozważa w duſzy ſwoiey, zawſze
wroci do wiosny życia, yako do zródeł
wracayą wody po długim zakrencie,
obyegłſzy prawie ſwiat cały.

A thak przybyły mu na myſli mło=
dy yego latha, yako ſye wychowywał
u pana rodzicza ſwego y u drogiey ma=
cierze ſwey, y odnowiły mu ſye w my=
ſli pola oyczyſte, rowniny y niwy ktho=
rych był dawno dla Boga zapomnyał.

y zdało mu shye yako by był mały y yakoby jeßcze na matczynnych reku spoczywał, y zdało mu shye słyßec oycowskie napominanie y braci a siostr ßczebiotke. Aż z myśli do myśli przyßedł do tego yako był chłopiecciem, a oyciecz mu konya darował kthory był mały, a czudnie rzezki, y znał go yako pies abo ptak hodowanny własnie.

A thak wspomnienia thy znowu serce yego ku zyemi skłoniły y jął żałowac przeßłosci swey y mimo woley wyrwały mu shye słowa.

— O gdybycz teraz mogł choć widziec takiego konika!

A ßathan kthory go nigdy nie opußczał y okazyey ono ßukał, poleciał a

przynioſł konya z ſiądzeniem; takiego własnye o iakim on ſwiąthy wſpomniał y w tey chwili pożądał. Zdumyał ſye ſwiąthy człowjek uyrzawßy go przed ſobą, alic ſye czartowſkiey ßtuki w tem niedowąchał, i myſlał ano mu Bóg w cieżkiem żywocie zeſłał te nagrode; y jął Bogu dziekowac a rozpłakał ſye yako dziecie na widok then y cały myßlą w przeßłosci ſye utopił.

Patrzał, obchodził, a oglądał konya y głaſkał go reką, całował a obłapyał yako był zwykł za młodu. Aż z oney pießczoty, chec go niepomierna wzieła przeyechac ſye na nim troche, y nie poſtrzegł ſye że duſſa yego już ſye była od

nyeba dla zyemſkiey acz niewinney roſkoße oderwała.

Y ſyadł na koń ów puſtelnik, aż oto, ßathan co ſye był w konya przedzierzgnął aby 'go kuſił, predkim lotem unyoſł go w powyetrze, wyſoko y thak ßybko, że wprzód całą zyemye, potym zaſie y ziemi już nie uyrzał. A że gi ſtrach przeiął wyelki i począł drżeć y myßlec czo ſye z nim ſtało? a upamyetac ſye nie mógł, myeniąc że jeſt yako drugi Elyaß żywcem do nyeba porwan.

W tym ßathan, ozwał ſye doń przez Konya w kthorego ſye był przedzierzgnął.

— Swiąthy człowiecze, pry, aboczyem nie ſkusił? A toc jeſt fortel ßatański, a

teraz w mocy moiey jesteś y uczynye z tobą co sam zechce.

A on pustelniczek rzekł, drżąc wielmi.

— Cóżem ci uczynił, abyś mnie thak srodze prześladował?

— Sam to Pan, nie ja, zesłał mnye, pry czart, abym cje upokorzył, iż rzekłes w duße swoiey, że nie maß grzechu, a ßathan mocy nad tobą.

Przyznaye sye, iżem słaby, yako ludzka istota, rzekł swiąthy.

— Alec na tym niedosc, bo w tym coś dotąd uczynił, niema grzechu, a ya do grzechu wprowadzic cje postanowiłem y niepußcze cie, a o zyemie rozbije z tey wyżyny upusciwßy, jesli mi grzechu popełnic nie poprzysiężeß.

A świąty jął gorzko płakać y lamentować mówiąc.

— O! na coż mnie ty myśli y żądania przywiodły. Otociem w ręku szatańskim y grzechu blizko y utrace nyebo, na którem całe życie pracował. Puść mnie szatanje lub rozbij, a do grzechu nie wwiedzieſz.

— Dobrze, rzekł czart, toć się z tym nie śpieszmy. A spójrz ono pod nogi swoye y obacz śmierć ową o kthorą prosiſz: Y ukazał mu szatan sztuką swoyą dyabelską, prawie pod nogamy yego, naprzód chmury czarney straſzliwy pyorun w onych ukryte, a niżey onych przeglądayące skały ostre yako noże y nayeżony w góre, a morze pod nimi. A uy-

rzawszy to swiąty ów zaląkł sie wielmi y począł y począł trząść sie mówiąc:

— O Boże móy nie dozwól mnie themu nieczystemu sathanowi do grzechu dowieść. A sathan smiał sie y mówił.

— A toceś w reku moyém y z onych nie wydzieß bez ßwanku, albo cje oto rozgruchocze, tak że lat dziesieć y siedemkróć dziesieć bedzieß padał z góry y widział smierć swoyą co chwila, nizeli umrzeß. Albo mi przysiąż iż zgrzeßyß.

A swiąthy z wyelkiego przestrachu począł mówić do sathana.

— Duchu nyeczysty, ponieważ cye Bóg na moje upokorzenie zesłał, yakiegoż chceß grzechu po mnie?

— Oto, rzekł sathan nasmiewając sye

nieszczesliwemu, daje ci prze łaske moyą trzy grzechy do wyboru: pierwszy abys sie upił, wtóry abys cudzą zone na grzech przywyodł, trzeci abys mężobóystwo popełnił.

A swiety z onego obrzydzenya yakie myał do grzechu począł sie wzdragać y wołac.

— O szatanyc! azaliż ci niedość abys mie do grzechu przywiódł, trzebaż ci jeszcze tak srogye y ciężkie wystepki dawacz mi do wyboru?

A on Mephistophilis pry na tho:

— Yestes w moczy moyey, a przed sie rób yako chcesz.

Y myszlał swiąthy, a zdało mu sie, że chocia piaństwo jest rzeczą bardzo

sprosną a grzechem wyelkim, boć duße naßą nieśmiertelną plami y oną w so-bye wrzkowo topi, yednakże rozumyał, aby to myał być z tych trzech grzechów namnieyßy, y rzekł ßatanu.

— Ano kyedy taka wola Boża nade-mną, wybieram piaństwo.

Y rzekł mu ßatan.

— Dobrze yest.

Abowiem widział yż od tego grzechu wßelki inny yakoby ze zrodła początek swóy byorą, czego swiąthy nye rozu-miał, a nie spodział sie. Y rzekł mu ßatan.

— Przysiąż mi na duße swoyą, że ten grzech popełniß.

A swiąthy rzekł —

— Przysięgam.

Aż w owey chwili, koń i z nim spuszczać sie począł lekko ku zyemi. A była już noc, ono xieżyc swiecił a gwyazdy pałały na niebiesiech. Y powoli uyrzał on zyemye, a na niey swyatło w miastach y po wsiach y ludzi yakoby mrówie przechodzące po nij. A potym uczuł dym zyemi y szum, gwar, szelest, aż spuscili sie, y staneli z koniem.

Lecz za sye nie na pustyni, alie w mieszczie a grodzie wielmi wielkim, przed samymi drzwiami a wrotyma gospody. Y rzekł mu szatan.

— Wniydź y upij sie, abowiem zwyązałeś sie przysięgą, a ja pilnować cje

bede y krokiem cie nie odstąpic, aż grzechu dopełniß. Y swiątchy rzekł:

— Aboż thak nagi wnide na posmiewisko do gospody?

Abowiem już go była blizkość swyata myslami y wstydem swiatowym owioneła, a ßathan cießąc sie rzekł mu:

— Oto odziene cie w ßaty bogate y dam ci trzos w pasie ze złotem, abys za grzech twóy zapłacił.

Y tak sie stało, że on swiąthy wßedł do gospody upokorzony, myßląc o upadku a wielkiem nießczesciu swoym. Y byli tam kupce, którzy za stołem syedzieli y pili y innych ludzi różnych wyeile, yako wiec bywa w gospodzye, kedy różnego narodu schodzi sie cizba, a każdy w nij pan, kto

jeno płaci. Jedni rozprawyali o oszukańs̄twiech, drudzy o innych wszeteczeństwiech swoich, yako prawi yawnogrzesznicy, inni bawili sie z nyewyastami fraucymeru S. Marka [1] a wszystko sie dzyało tak szkaradnie iż sie serce swiąthemu pustelniczkowi na on wydok wzdrygało. Y chcyał był nawracać oną zgraye, lecz wspomniawszy yż y sam nie był wolen grzechu, a przyszedł aby go popełnił, siadł a milczał. Aż pòyrzawszy na szaty yego nadeszła k niemu gospodyni domu młoda a chedoga białogłowa, pytając czegoby pragnął. A on rzekł:

— Wina.

---

(1) Wyrażenie współczesne, niewiadomego pochodzenia.

y poßła ona kobieta y przyniosła mu go, dobrego a najlepßego.

Owoż kiedy hippokrat ów z żołądka do głowy mocno ſkutkowac a burzyc sie począł, yako to wiec u tych bywa, co same wode piją; swyat yakoby inßy stanął przed oczyma yego, ze wßystką Mammony pieknoscią, y zagasłe w sercu pustelniczym żądanya a myßli, yakoby cudowną moczą ßatańską z korzenia odrosły. A tak pijąc ulubował sobye już piaństwo i co z początku mimo swey woley czynił, to już kończył z ochotą y roſkoßzą, aż drugi dzban onego przednyego wina podacz rozkazał.

Tym czasem ona gospodyni krecila sye po izbie. A była młoda y hoża niewyasta

jakom rzekł, yako ony bywaią co po go spodach syedząc, wymòwny szczebyotliwy, zalotnicy prawie wdziękami swymi szynkuią.

Y swiąty on uyrzał w oney wdzięki wszytki y dziwił sie im i myszlą szukał sposobu yakoby ich używał, tak go było ono wino odurzyło a Boga zapomniecz dało. Toż kupce i innyowi ludzie yacy byli w gospodzye na nocleg do konyech swych a wielbłądziech poszli, inni po izbyech sie rozeszli; a on sam swiąthy z gospodynią został, czem jeszcze smielszy, a pretszy do grzechu a złego stał sie.

A narescie, skuszony sam od czarta, skusił y sam niewiasthe do wielkiego grzechu pieniedzmy, który mu był dał

czart. Y stało sye, yż sie układli razem, a spali w grzechu. A ona niewyasta rzekła.

— Gdyby mąsz a pan mòy powròcił, zabijłby mnie.

Y rzekł on swiąthy;

— Nie bòy sie, boć nie przybedzie, a gdyby przybył, ja cje obronie. Y w tem pospali sie twardym snem.

Aż oto stuk sie zrobił wyelki y swyatło ocykaiąc sie uyrzeli przed sobą, a nad łożem stał mąsz oney białogłowy krzycząc a wywijając mieczem. On swiąty ze snu porwawszy sie szukał czemby sie bronił, aż napadł topor pod reką i tym machaiąc na obie stronie, tak sie meżnie potykał, yż ciąwszy przez głowe

męża niewyasthy, trupem gi położył. Toż krzyk powstał niezmierny y kupce, a ludzye ony noclezanye sie zbyegli y sąsiady y sędzyowije onego myasta y pochwycili gi y zwyązali: A jemu yakoby nagle otworzyły sie oce y uyrzał szkarade swoych grzechów y przypomnyał yż za yeden kthóren był przysiągł szatanu, trzy wszytki yakie żądał, popełnił. Y wyelkim głosem, yął płakac a narzekac, wołayąc, aby go na smierc wyedziono było. Y opowiedał swoyą historyą wszytkim, o smierc napretszą prosząc, którzy ulitowawszy sie wolno gi puscili. Z tąd że powrócił na puszcze y płacząc a narzekayąc nad slepotą swą Pana Boga Myłoszczivego przebłagał, a z oczow ye-

go-płynęły łzy yako dwa poniki wody z pod góry.

Widziczie owo co to za grzech pianſtwo, boć yeſt matką wſzelakiey ſproſnoſci i widziczie iż naſwiątſzy powiedzieć nie ma w ſerczu ſwym:

— Otociem bez grzechu, a ſzathan niema moce nademną.

Bo Bóg ukarze dume yego i ſtrąci go myedzy zbrodniarze, abowiem niema ciała bez zmazy, a póki ono duſza w ciele, rzec nie może.

— Utrzymam ſie bez grzechu.

Bo bez zmazy y grzechu, Bóg tylko y angiołowie yego.

